

PISMO DLA RODZIN.

№ 16. Warszawa, dnia 10 (22) Kwietnia 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie....	rs. 6 k. „	rocznie...	rs. 8
półrocznie..	„ 3 „ „	półrocznie.	„ 4 k. „
kwartalnie..	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie.	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12 w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

OMANKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

(Ciąg dalszy.)

Ujrzawszy w oknie surowe oblicze małżonki, zmięszał się kasyjer i stanął jak człowiek, który się namyśla. Zdaje się, że miał ochotę uskutecznić odwrót formalny, ale pomacawszy coś ręką po za sobą, postanowił frontem zbliżyć się do nieprzyjaciela.

Uszedł kilka kroków i stanął pod oknem.

— Niegniewaj się serce—rzekł do małżonki — chciałem sobie drogę skrócić. Na starość musi człowiek swoje pedały szanować.

Kasyjerowa dostrzegła na twarzy męża jakieś zmieszanie. Nadrabiał wprawdzie miną a nawet jedną ręką wąsy z fantazyją zakręcał, ale drugą rękę trzymał za plecyma, jakby tam coś ukrywał.

— Przecież codziennie chodzisz do rogatki na przechadzkę — rzekła kasyjerowa z uśmiechem — a dzisiaj siedziałeś trzy godziny u pani Rabsztyńskiej spokojnie jak turek! Nic by ci nie szkodziło, gdybyś kilkaset kroków więcej zrobił i fasoli mi nie psuł! Wiesz dobrze co to robota kosztuje!

— Prawda — ale dzisiaj jakoś trochę osłabłem! Nie wiem, czy za wiele piłem kawy, czy za wiele tej muzyki słuchałem! Ależ gra jak szatan! Ktoby się spodziewał, że syn tej ślusarki, co to za tego pijaka wyszła, tak się pięknie wykieruje.

— Już to Rabsztyńska przyjęła nas po pańsku! Placki, kawa, muzyka... tak jak u wielkich panów bywa. Trzeba ich także do siebie zaprosić i w taki sam sposób ugościć. Czy mówiłeś co z tym muzykiem?

— Coś trochę mówiłem — ale nie wiele, bo Salomea zawsze przy fortepijanie go trzymała.

— Czy długo tu zabawi?

— Tydzień, dwa!

— A potem?

— Potem... pójdzie w świat, jakto zazwyczaj wszyscy grajkowie robią.

— A może tu chce osiąść?

— Uchowaj Boże! Cóżby on w naszem mieście robił! U niego pod tą bujną czupryną pali się jak w hucie! Co drugie słowo u niego to Wiedeń, Paryż, Moskwa i Petersburg. O Krakowie i Warszawie to nawet nie wspominał... Zresztą może ma i słuszność. Muzycy to kosmopolitycy. My dla nich jesteśmy za ubodzy — ciągną tam gdzie czują pieniądze! A jeżeli który u nas się osiedli, to z biedy najczęściej się rozpija! Przecież dzisiejszy organista u fary miał także gdy był młody, długie włosy i zaczął od koncertów. A dziś na starość kalikuje na chórze i ciągnie szabasówkę że aż miło!...

Kasyjerowa zamyśliła się.

— Masz słuszność, rzekła po chwili, że w naszem mieście muzyk z jaką taką pretensyją nie ma co robić. Któżby był tak głupi i świat sobie zawiązywał!

— A cóż cię ten muzyk tak obchodzi?

— Wcale mnie nie obchodzi — jeżeli powiadasz że wkrótce stąd wyjedzie. Ot tak przyszło mi do głowy!

Kasyjer stał czas niejaki w milczeniu jakby sam nie wiedział, co ma dalej począć. Od czasu do czasu sięgał ręką po za plecy, i ostrożnie tam coś obmacywał.

— Czego nie idziesz do pokoju? zapytała po niejakiem milczeniu kasyjerowa.

— Tak, to prawda — trzeba iść — odparł w kłopocie kasyjer sięgnąwszy ręką za plecy.

— I czego się nie decydujesz?

— Widzisz moje serce.... zaprosiłem Karola dzisiaj.... na talerz śmietany.

— Dobrześ zrobił.... ale czego stoisz na jednem miejscu?

— To prawda... ale przyznasz, że Karol w czepku się rodził! Mówię ci, on zrobi karyjerę. *Doctor juris utriusque* — zostanie co najmniej radcą sądowym a może kiedy i prezydentem... a gdy się z Salomeą ożeni, to będzie ładna żonka, dworek, kamieniczka i .....

— Łapiesz srokę za ogon!

— Jak cię kocham, że nie! Czy widziałaś jak wczoraj ochoczo ząbki do niego suszyła? Jak go ustawicznie za rękę ściskała... myślałem raz, że mu się na szyję rzuci, gdy do „Króla olch,“ którego na basetli grał muzyk, wydeklamował przekład polski Minasowicza. A ładny jędrny przekład, dziś tak pisać nie umieją...

— Już to była mu bardzo życzliwa!

— Co życzliwa! Ona się w nim już zadurzyła po uszy! Alboż nie wart tego? Człowiek jak świeca, *doctor juris utriusque* — pracowity.... ma przed sobą przyszłość jak naj-

piękniejszą! Ciekawy byłbym widzieć pannę, któraby za takiego człowieka nie poszła z pocałowaniem ręki...

— Bywają różne fantazyje...

— Ej fantazyje! fantazyje! Któż mówi o fantazyjach! fantazyje są i będą, ale rozumna, rozsądna, dobrze wychowana panna wie przecież, że życie to nie jest fantazyją.... choćby nawet samego Liszta!

Kasyjerowa nic na to nie odpowiedziała.

— Otóż widzisz moje serce — mówił dalej kasyjer obracając się ostrożnie jednym bokiem, zaprosiłem Karola dzisiaj na.... talerz śmietany, aby mu powinszować dzisiejszego powodzenia. Człowiek szczęśliwy potrzebuje z kimś swoje szczęście podzielić. Karol prócz nas, nie ma tutaj nikogo. Poczciwy zacny chłopiec. Spotkałem go przed chwilą, jak pędził ku rogatkom. Był czerwony jak rak, a machał rękami jakby jechał na stu koniach... Szczęście to dziwne uczucie. Człowiek w szczęściu to rozpływa się w przestrzeń niezmierną jakby chciał dostać się aż do słońca! Prężą się w nim wszystkie siły, muszkuły naciągają się, a nerwy grają jak struny!... Gdybyś widziała Karola, jak pędził naprzód, to byś odrazu odgadła, że ten człowiek musi być szczęśliwy!...

— Już sama młodość jest szczęśliwą, a cóż dopiero jeżeli do młodości przyłączy się tak piękne uczucie!

— Masz słuszność moje serce — gdyby nie siedmdziesiąty krzyżyk na karku....

— Cóż ci tam znowu?

— Nic mościa dobrodziejko, jowijalnie odparł kasyjer idę już do domu, jak rozkazałaś, bo i tak Karola tylko co nie widać!

Rzekłszy to stary kasyjer zwrócił się prawem ramieniem do okna, przy którem żona siedziała i rozpoczął z wielką strategiją swój pochód do domu. Chodziło mu widocznie oto, aby jak można najwięcej frontem ten pochód uskutecznić. Mimo to ujrzała podejrzliwa małżonka jakiś przedmiot sterczący z lewej kieszeni zielonego surduta, który kasyjer starannie ręką przysłaniał. Przedmiot ten był podobny do długiej i pękatej butelki.

Uśmiechnęła się i odeszła od okna, aby mężowi ułatwić marsz strategiczny do swego gabineciku.

Za pół godziny był już w małym pokoiku okrągły stolik białą serwetą nakryty, a na nim stała również biała wazka z żółtawą, kwaśną śmietaną. Przy trzech talerzach leżały symetrycznie poukładane kawałki razowego, czarnego chleba.

Kilka razy przychodził już do tego pokoiku stary kasyjer, wciągał w rozwarte nozdrza kwaskowaty aromat śmietany i z widoczną niecierpliwością zaglądał potem do okna.

Gdy po raz czwarty tak platoniczną biesiadą się częstował, otworzyły się drzwi z łoskotem, a do pokoju wpadł Karol cały zdyszany.

— *Tandem! tandem!* zawołał kasyjer ściskając za rękę aplikanta — patrz słodkie mleko jak się zsiadło od tego czasu i zrobiła się z niego pyszna śmietana.

Weszła i kasyjerowa i wszyscy troje po kilku słowach wstępnej rozmowy, zasiedli do stolika.

Stary kasyjer był w dobrym humorze i nadzwyczaj rozmowny. Mówił wiele i dowcipował, aż małżonka musiała kilka razy zawezwać go do porządku.

— Cóż chcesz serce — bronił się stary weteran — przecież życie ludzkie najwyraźniej podobne jest do dużego garnka z mlekiem. Najprzód jest mleko słodkie i nudne... to lata dziecięce. Potem zwolna staje się kwaskowate, a wtedy nie jest smaczne. To młodzieniec, który z chłopca wyrasta, a nie jest jeszcze mężczyzną. Zazwyczaj jest to najnudniejsza facyjata w towarzystwie. Francuzi nazywają go *blanc — bec* a niemcy powiadają: Gelbschnabel! Przypomina to wróbla, gdy ma jeszcze dziób żółty.... A gdy się mleko dobrze zsiądzie, to śmietana jest na wierzchu. Wtedy życie jest w pełni — i zazwyczaj rozpoczyna się od śmietany, czyli najwyższego szczęścia ludzkiego, jakiem jest miłość. Po śmietanie następuje jędrne, zsiadłe mleko, to czas pracy i obowiązków — a na dole ostaje się serwatka, to starość i emerytura!... Karol więc jest w okresie śmietanowym!...

— Dzisiaj za wszystkich mówisz!

— Być może, że za was wszystkich jestem szczęśliwy!

— Niech mi wujaszek ujmy nie robi.

— I owszem! tylko za cicho siedzisz jak na szczęśliwego!

— Bo właśnie zastanawiam się nad ważnym krokiem życia.

— Co to zastanawiać się! Ja gdym się miał oświadczać, to się wcale nie zastanawiałem! Jeść nie było na jutro!

— Gdy się schodzi równy z równym! Ale gdzie jest już pewna pozycyja z jednej strony, tam trzeba do tej pozycyi się dostroić.

— Co tam znowu mówisz o pozycyi! Masz cały świat przed sobą, bo masz dwadzieścia pięć lat i dyplom!

— Właśnie dla tego trzeba myśleć o sobie!

— Już ja tam nie wierzę, abyś po tych plackach i tej muzyce tak bardzo o sobie myślał. Myślisz o niebieskich oczach, które tak czule na ciebie patrzały, o tej drobnej rączce, która tyle razy ciebie ściskała, i o tych różowych usteczkach, z których wypłynęło dla ciebie tyle słów słodkich i roskosznych... A co, nie prawda? Przyznaj się!

Karol zarumienił się, a na czoło wystąpiły sine pręgi.

— Bynajmniej się tego nie wypieram, odparł, że o tem wszystkiem myślę. Alboż nie ma o czem myśleć?... W samej rzeczy, czuję się tak szczęśliwym, jak nawet sobie nigdy nie wyobrażałem. Przeczucie nie myliło mnie, chociaż ciotunia wcale w to przeczucie nie wierzyła.

— O sercu kobiecem nigdy naprzód wyrokować nie można — rzekła kasyjerowa — któżby się spodziewał, że Rabsztyńska wraz z wnuczką roiły sobie coś o maluczkim aplikancie sądowym?

— Co maluczkim! krzyknął z energiją kasyjer — *doctor juris utriusque!* Czy ty wiesz

Z PIĘCIU CZĘŚCI ŚWIATA.

IV.

Rozpoczynając dzisiejszą pogadankę, mieliśmy zamiar równie jak w poprzednim Numerze, zacząć od rzeczy najtrudniejszej dla felijetonisty tygodniowego. Sądzicie może, łaskawi czytelnicy że mamy tu na myśli jakieś głębokie i poważne kwestyje społeczne lub filozoficzne. Broń Boże! —idzie tu po prostu o *pogodę*. Bo jak tu, powiedźcie sami na kilka dni przed wyjściem pisma przewidzieć figielki tej kapryśnej pani. Obawiamy się zaiste, aby i nas nie spotkał tak smutny los, jaki przytrafił się niedawno jednemu z felijetonistów. Oto w najpiękniejszą pogodę najniewinniej oszkalował on szlachetną atmosferę, że okryta ponurą szatą płacze nad grodem naszym obfitym strumieniem łez, okrywających zewnętrzną jego powłokę zbyt prozaiczną masą.. błota. Wiele zresztą innych powodów skłania nas do pominięcia tej ważnej nader kwestyi, a szczególniej to, że nie chcemy, wchodzić w sferę wyłącznej atrybucyi i specyjalności reporterów pism codziennych. Darujcie więc, że przejdziemy do spraw innych. Przedewszystkiem *pro domo sua!* Jeden z członków Towarzystwa subjektów handlowych rzucił gromy gniewu na biednego sługę waszego za krzywdę wyrządzoną tej instytucyi w pierwszym felijetonie. Co do ostatniego zwracamy honor, omyliliśmy się w samej rzeczy. Ależ *errare humanum est*, a rzecz była łatwą do poprawienia. Należało nam dać tylko małe objaśnienie; tembardziej że odezwa nasza była w formie, nieprzekraczającej najwyszukańszych wymagań grzeczności. Drobne więc zboczenie felijetonisty nie upoważniało szan. obrońcy do rzucania niemotywowanych a ogólnikowych gromów na cały felijeton. Czy łaskawy pogromca chciał tylko próbować sił w szermierce polemicznej czy może pragnął wylać gorycz zbolałego serca—w każdym razie pierwsza część artykułu mogła w łagodniejszej nieco przedstawić się formie.

Zapewne polemiczny duch prasy naszej wpływa na usposobienie i wyjątkowych tylko jej placówek. A duch ten w różnorodnej objawia się formie. Ot i teraz żywimy słuszną obawę, aby na nowo, nie rozpoczęła się przebrzmiała już sprzeczka w ważnej nader kwestyi. Jeden z organów codziennej prasy naszej donosi znowu o figlach drapieżnych wilków. Zjadły one podobno pewnego obywatela w okolicach Kiszyniewa w Cesarstwie. Lękamy się, aby i teraz skazana na śmierć ofiara nie zareklamowała o błogim stanie zdrowia swojego i nieobudziła tym sposobem na nowo zażartej polemiki w piśmiennictwie. Bo chociaż walka w imię idei zawsze dobre tylko przynosi owoce, jednakże... lepiej dać sobie buzi i siedzieć cicho a zgodnie, jak na przyzwoitych obywateli przystało.

Nie jesteśmy przeciwnikami uczciwej polemiki. Lecz jeżeli ma ona dochodzić do plugawych obelg, wtedy, szanowni panowie wolimy, abyście siedzieli, jak owi rabini, którzy będąc jednakowo u szczytu mądrości, nie ma-

co to znaczy? Czy ty wiesz ile lat trzeba pracować na ten tytuł?

— Bynajmniej temu tytułowi nie uchybiam, ale świat zwykły woli u konkurenta gotową kamieniczkę bez długich lat pracy lub karetkę modną zaprzężoną czterema rumakami, niżeli gołe dyplomy wszystkich uniwersytetów Europy....

— Świat zwykły... to świat głupi moje serce! Przecież pani Rabsztyńska tak zacna matrona i jej piękna wnuczka nie mogą się liczyć do takiego świata...

— Czasami ludzie gwałtem sami zaliczają się do tych szeregów.... dzięki Bogu że tu tak się nie stało!

— Pani Rabsztyńska bardzo długo i łaskawie zemną rozmawiała! rzekł Karol i spuścił zarumienione czoło.

— Wszyscy byli bardzo radzi... Nawet muzyk przyjaźnił się z tobą! wtrącił stary kasyjer.

— Widać, że dzisiaj był dla mnie dzień szczęśliwy... jeszcze nie mogę zupełnie objąć całego mego szczęścia!

— I dla tego biegałeś aż za rogatki miasta.

— Potrzebowałem wprawdzie ruchu i wolnego powietrza, bo mi duszno w piersiach.... ale nie biegałem znowu tak bez celu. Miałem interesik do notaryjusza pana Benedykta, który teraz mieszka w dworku za miastem.

— Tam do kata! mruknął kasyjer — czy już myślisz o intercyzie? A może dowiadywałeś się, czy na hipotece nie ma jakich długów? Hę, odpowiedz mi!

Sine żyły wystąpiły na czoło Karola.

— Uchowaj Boże! zawołał, abym był w początkach szczęścia mego tak bezbożny! Wujaszek zranił mnie w najboleśniejszą stronę mego serca!

Stary kasyjer patrzał czas niejaki na Karola. Snać wejrzenie Karola było czyste i szczere, bo wkrótce łagodny uśmiech obkolił usta staruszka.

— Ale powiedz mi — rzekł z pewną słodyczą — co cię w tak ważnej chwili zapędziło do notaryjusza?

Karol spojrzał ukradkiem na pytającego i spuścił oczy.

— Do pana Benedykta odparł — miałem osobisty interes. Już od dawna nosiłem się z pewną myślą. Jakkolwiek poświęciłem się sądownictwu, być jednak może, że mój zawód z czasem zmienię.

— Zmienisz? A cóż ci znowu do głowy przychodzi?

— Przychodzi mi do głowy... nowa ustawa nasza o sprawach notaryjalnych. Według nowej ustawy, umowa przed notaryjuszem nie wymaga żadnego procesu, bo ma zapewnioną natychmiastową egzekucyją. W sądzie dopiero dowiaduję się, jakiej doniosłości jest ta ustawa... Otworzono drzwi najohydniejszej lichwie—a sąd musi tę lichwę natychmiast egzekwować, chociaż jasno widzi, że tu popełniono uprawnioną zbrodnię....

— I cóż stąd?

— Otóż chciałbym wejść na praktykę do notaryjusza.

— A sąd porzucić?

— Nie — praktykę odbywać będę w godzinach poobiednich i wieczornych.

— Chcesz piętnaście godzin dziennie pracować? to się zabijesz!

Aplikant spuścił oczy.

— Jestem zdrów i młody! odparł cichym głosem.

— A potem?

— Potem będę miał otwartą drogę do sądu albo notaryjatu. Jako notaryjusz miałbym zaszczytne stanowisko, bo mógłbym być rozyjemcą i stróżem między ciemnym ludem a szatańskim lichwiarzem.

Stary kasyjer patrzał czas niejaki na aplikanta. Twarz aplikanta mieniła się pod wzrokiem starego. Raz blada, drugi raz opromieniał ją ciemny rumieniec.

— Karolu — rzekł po chwili kasyjer—przyznaj się żeś skłamał! Widzę to po twoich oczach!

Karol spojrzał na starego i uśmiechnął się.

— Nie skłamałem — odparł — chociaż może wszystkiego niewypowiedziałem! Przecież to nie spowiedź...

— Widzę, żeś grubszą sztukę ukrył przedemną!... Powiedz, czy pan Benedykt będzie ci za to płacił?

Karol zarumienił się.

— Przecież każda praca bywa wynagradzaną — odpowiedział z uśmiechem.

— Wiele obiecał ci notaryjusz?

— Dwadzieścia pięć złotych reńskich.

Kasyjer pokiwał palcem.

— Widzisz rybko jak cię złapałem! Chcesz coś zarobić, abyś miał czem przyszłe gniazdo wyścielić! Czy nie zgadłem? Hę!

Aplikant spuścił twarz do ziemi.

— Niepotrzebujesz się wstydzić — jest to bardzo szlachetnie z twojej strony, że o tem myślisz. To przecież fundament życia, aby umieć i chcieć dla przyszłego gniazda zapracować. d. c. n.

Młodym Towarzyszom.

Hej! towarzysze młodzi!
Ilu nas razem jest,
W nas myśl się nowa rodzi,
Przyszłości dajmy chrzest!

Bierzmy rzecz na rozumy,
Dość marzeń, mrzonek dość!
Przyszłość trzymamy w kumy,
Więc zdrowo musi rość!

Wytrąćmy świat z kolei
Zmurszałych doktryn, zdrad!
Nowej służmy idei,
Ku wiedzy pchnijmy świat!

Wiedza—to wielka władza
Ciemnoty burzy tron,
Świat wiedzą się odradza
Wiedzy zbierajmy plon.

Hej! towarzysze młodzi!
Ilu nas razem jest...
Idei co się rodzi,
My życia dajmy chrzest.

---

ją sobie nic do powiedzenia i objaśnienia, a zatem milczą uporczywie.

Ale a propos naszych znakomitości literackich „Kronika Rodzinna“ drukuje artykuł: „O znaczeniu wielkich ludzi w nowożytnych społeczeństwach.“ Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór tej pracy, zwrócimy tylko uwagę szan. autorowi, że niewłaściwie pominął cały szereg współczesnych dziennikarskich znakomitości naszych. Czyż to my nie należymy do tych nowożytnych społeczeństw, które tylu olbrzymów rodzą. O panie, obrażać na siebie odrazu tyle wielkości, to trochę zanadto!

Zaiste, prawdziwa tylko skromność wstrzymuje tych panów od słusznego upominania się o prawa swoje. Ale sąd przyszłych pokoleń pomści się nad tobą okrutny autorze, i nad utworami twemi, które zaginą w mgle zapomnienia, a imiona wielkich mężów naszych złotemi literami na karcie dziejów zabłysną. Czyż bowiem nie wytwarzają oni tyle wielkich projektów, czyż nie piszą wielkich artykułów, czyż zresztą nie staczają wielkiej walki. Nie godzi się tak poniewierać własnem społeczeństwem. A przecież ono tak młode jeszcze, a tak już wiele działa... Co to będzie, jak podrośnie i dojrzeje!

Spotkałem niedawno jednego z grona wielkości naszych. Mąż ten poświęcał się wyłącznie filologii.

— Czy nie wyjeżdżasz pan na kongres lingwistów amerykańskich? — spytałem z należną atencyją.

— A cóżbym ja tam robił—odrzekł uczony.

— Jakto, czyż nie wydobędziesz pan ze skarbnicy wiedzy swej bogatych zasobów, które by się przyczyniły do rozwiązania kwestyi, tyczącej się języka pierwotnych ludów Ameryki?!

— A daj mi pan pokój, czyż nie mało mamy własnych lingwistycznych kłopotów!

— Prawda! Lecz trzebaby odpowiedzieć godnie na wezwanie komitetu, który, ufny w nasze siły naukowe, przesłał nam kilkanaście zapraszających biletów.

— Uprzedzająca galanteryja! — Żegnam pana!

Palnąwszy takie dictum acerbum uczony mąż szybko się oddalił. Szkoda zaiste, że kongres lingwistyczny nie odbywał się tak przed 10 laty—wtedy w gronie literatów naszych, studyjujących z godnem podziwu zamiłowaniem kwestyje: Chińskie, Japońskie, Tureckie, Tatarskie i t. p. znalazłoby się zapewne nie mało uczonych mężów, którzyby zabłysnęli głęboką wiedzą między znakomitościami amerykańskiemi.

Kiedyśmy napomknęli o ludach Azyjatyckich, poświęćmy słów kilka najbardziej rozbudzonemu z nich w cywilizacyjnym zapędzie.

Mamy tu na myśli Japończyków. Pesymiści narzekający na nużącą długość przedstawień teatralnych, niechaj jadą do tej krainy uczyć się w tym względzie cierpliwości i gorących afektów ku potężnej Melpomenie. Szkoda doprawdy, że prasa nasza, która niegdyś z tak niezmordowaną starannością i głęboką erudycyją zaznajamiała czytelników z życiem najodleglejszych ludów, trzymając się wiernie strawestowanej zasady: *omne alienum poprium nobis esse debet*, w obecnej chwili nie daje

ZARYSY
Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił
Jan ze Śliwina.

VII.
Gubernija Kowieńska.

(ciąg dalszy)

Świenta oddziela gubernije od Kurlandyi.

Opuszczamy tu wiele innych pomniejszych rzek. Brzegi niemal wszystkich rzek bardzo wysokie.

Największa liczba jezior, a mianowicie 400 znajduje się w powiecie Nowoaleksandrowskim; w innych zaś, w Wiłkomierskim i Telszewskim po 100, w Szawelskim i Rossieńskim 50, a w Rowieńskim i Poniewieżskim zaledwo 10.

Jeziora te, jak i całe Pojeziorze baltyckie, położone wysoko po nad poziomem morza, są źródliskami wód żywych, ujętych w wysokie zabrzeża, zasilających rzeki główne, bez czego takowe nie byłyby spławne.

Rzeki i jeziora obficie dostarczają ryb rozmaitych. Znane tu szczególnie: łosoś, jesiotr, sum, słynne sielawy z jezior Płotelskich. Ale w odległej przeszłości śledzie, dorsz, flonderki i inne gatunki ryb baltyckich pod Połongą szczególnie (która dziś już do Kurlandyi należy) sławne były i w wielkiej obfitości poławiane, tak, że dawały możność prowadzenia rozległego handlu. Bursztyn i śledzie zdaleka sprowadzały wędrownych kupców.

Granicznym punktem Pojeziorza baltyckiego, podług teoryi W. Pola jest Kowno. Od Grodna przez wierzchowinę Wilii koło Wilejki przechodzi granica Pojeziorza na Dźwinę do miasta Uły, a następnie ciągnie się doliną Dźwiny i Mieży, w górę do wierzchowiny Wołgi i Dniepru.

System wodny, jak niemniej sam gatunek ziemi i klimat umiarkowany wpływają na urodzaje. Jakoż gub. Kowieńska od najdawniejszych czasów słynęła z urodzajów, a rolnictwo stanowi główne jej bogactwo. Pod tym względem zaliczyć by ją można do żyznych południowych gubernij, tu bowiem roślinność zaczyna się zwykle 1 kwietnia i kończy się zaledwo w Grudniu. Oprócz żyta i pszenicy wyrabia się tu znaczna ilość lnu. Handel główny zbożem i lnem prowadzą z Rygą i tylko od niedawna z Libawą (Lipawa) z którą jest koleją żelazną połączona Gubernija. Najsławniejszy len *Rakiszski* hr. Rajnolda Tyzenhauza w powiecie Nowoaleksandryjskim. Kupcy nazywają go *koroną* lnów z całego państwa rossyjskiego. Pirer zaś w swoim Lexykonie umieścił Rakiszski len jako odmienny, wydoskonalony. Przemysł fabryczny i rękodzielniczy znajduje się na nizkiej stopie.

Dodać tu jeszcze winniśmy, że Żmudź ma własną rasę koni, słynnych oddawna swoją siłą i rześkością. Małe są, sierścią i kształtem przypominają trochę słynne owe wiatskie koniki. Rasa to na Żmudzi prastara. Wydobywane przezemnie kości końskie z kurhanów gdzie były zagrzebane razem z ich panami, podług zdania znawców, kształtem i rozmiarem bardzo przypominają dzisiejszą rasę żmudzką.

Niewiele już zostało z owych odwiecznych puszcz, zamieszkałych przez wszelkie zwierzęta i słynne niedźwiedziami, od których mnogości, herb nawet księztwu został nadany. A jednak i dziś jeszcze w okolicach Dubissy i Niewiaży, w puszczy Kurtowiańskiej znajdzie się niejeden wielowiekowy dąb, przed którym w czasach pogańskich ofiary składano.

Lud na całej Żmudzi mówi do dziś dnia językiem litewskim, różniącym się nieco od używanego na wyższej Litwie; wszakże różnica ta zależy nie tyle na odmianie wyrazów, ile na wymawianiu. Piśmienny zaś język jeden i ten sam wspólny jest dla wszystkich. Dzięki opiece i troskliwości sędziwego dzisiejszego biskupa ks Macieja Wołonczewskiego jak niemniej szlachetnej pieczołowitości ś. p. księcia Ireneg Ogińskiego, oraz wielu innych duchownych i świeckich osób. Żmudź przedstawia pocieszający widok: nie ma tu prawie ani jednego włościanina lub włościanki, którzy by czytać przynajmniej nie umieli. Wiele też tu książek wyłącznie dla ludu wydano i tych po kilkanaście tysięcy egzemplarzy odbijano.

Nie wiele mamy prac w języku polskim o Żmudzi, oprócz dzieł i artykułów Czerskiego Jucewicza, Gadona, Akielewicza, ks. K. i kilku innych. Wszakże w języku litewskim, w rękopismach wiele się znajduje sumiennych studyjów historycznych i etnologicznych. Obecnie wyszła w Krakowie, w wydaniach Akademii Umiejętności praca, Dra. Jana Karłowicza *o Języku Litewskim*. Niezmiernie to ważny i ciekawy przyczynek do studyjów tego rodzaju. P. Karłowicz zamieścił nawet małą biblijografiją litewską, która da wyobrażenie o literaturze tego narodu.

Chcąc kreślić badania etnologiczne i archeologiczne o Żmudzi, tomy całe napisać by wypadało. Ciekawy to kraj, a piękny, żyzny, zacny zacnością, prawością swoich mieszkańców. Pod względem starożytniczym, mało badany, zawiera skarbnicę prawdziwą zabytków z odległych epok, bo nawet w trzeciorzędnej formacyi znaleść je można.

Ważniejsze zabytki wykażemy mówiąc o miejscowościach przy których się one znajdują. Tu zaś słów kilka tylko o sławnym *Baublisie*, bo któż o nim nie słyszał!

O 3 mile od Rosień położone są dobra *Bordzie* przed laty własność Dyjonizego Paszkiewicza. Tu na wierzchołku wzgórza *Wiszniu-Kalnas* wznosił się pewno najstarożytniejszy z dębów litewskich, *Baublis* zwany. Konary jego okrywały cały wierzchołek wzgórza, ogrom zaś i 700 słojów wyraźnych, prócz tych które już były spróchniałe dowodnie świadczyły, że żył przeszło lat tysiąc. Upadł wreszcie w r. 1811, ale i teraz jeszcze, pniem świadczył o dawnej swej wielkości. Pień ten miał obwodu blisko 12 metrów, średnica zaś jego wynosiła przeszło 4 metry. Paszkiewicz w środkowej części pnia urządził muzeum zabytków

---

nam pouczających przykładów z życia Chin, lub Japonii.

Otóż w zapowiedzianym dniu przedstawienia ludność tamtejsza z godną podziwu cierpliwością wysiaduje w teatrze i napaja się rozkoszą estetycznych wrażeń, od godziny 9-ej rano do 8-ej lub 9-ej wieczorem. Niekiedy nawet przedstawienie jednej sztuki trwa 2 lub 3 dni. A toaleta!—niczem elegancki świat ucywilizowanej Europy. Szczególniej piękna połowa rodu ludzkiego odznacza się prawdziwym w tym względzie wdziękiem i wykwintnym smakiem estetycznym. Żeby ukryć ciemną płeć, szanowne córy Japonii myją twarz mlekiem migdałowem; tuszem podczerniają sobie brwi, a zęby smarują złotą farbą, która po pewnym czasie przybiera kolor czerwony. Nie sądźcie też, żeby i umiejętna struktura głowy, którą się tak słusznie chełpi europejska cywilizacyja XIX wieku, była obcą niewiastom tamtejszym. Bezstronny badacz przyznać musi, że nawet... o hańbo! przewyższają w tym względzie naszę sztukę fryzyjerską. (Już widzimy oburzenie na licach czytelniczek, ale, niestety prawda w oczy kole!) Oto ubiór głowy Japonijanek tworzy dużą wieżę, na wzniesienie której cały dzień usilnej pracy zaledwie wystarcza. O jakżeż żałujemy, że macosza natura nie obdarzyła nas tak wielkim darem obrazowania, jaki posiada choćby... felijetonista Ogniska Domowego! Dopierobyśmy odtworzyli wam obraz piękny i wspaniały!

Ha!—kto wie, możeby to i na złe wyszło. Toć donżuanowie nasi jeżeli notabene łaskawie czytają niniejszy felijeton, zachwyceni wdziękami uroczych cór Japonii, gotowi urządzić olbrzymią emigracyją do odległej krainy, co przyniosłoby nie małą klęskę ekonomicznym stosunkom kraju naszego i... moralności publicznej. Któżbo bo bardziej od was o szlachetni młodzieńcy, wpływa na umoralnienie dziewic naszych! Któż z tak szczytnem poświęceniem niezbyt potężnych sił fizycznych—dniem i nocą, w pogodę i niepogodę—stoi na straży cnoty niewieściej, ofiarując swe ramię na przypadek koniecznej obrony przed .....nieprzewidzianemi okolicznościami! Któż mimo czujnych oczu i niesłusznej protestacyi matek, ciotek, opiekunów i opiekunek, z prawdziwem zamiłowaniem kształcąc smak estetyczny i podnosząc duszę dziewic naszych na wyżyny szczytnych ideałów, przygotowuje z nich wierne żony i poświęcające się matki!...Cóżbyście robiły, biedne sieroty, gdyby tak ni stąd ni zowąd całe tłumy tej szlachetnej młodzi powędrowały sobie gdzieś daleko, na obcą ziemię, w objęcia obcych dziewic! Już widzę łzy na licu waszem. Felijetonista rozczulił was. Zaiste, tryumf nielada!

Ale powróćmy znowu do teatrów Japońskich. Mechaniczna budowa sceny jest nader oryginalną. Zmiana dekoracyi odbywa się za pomocą kręcących się kół, i za danym znakiem koło robi pół obrotu, unosząc z sobą poprzednich aktorów, a wprowadzając nowych. Zadziwiająca gimnastyka! Ciekawi jesteśmy, czyby tak nasi artyści zechcieli się podać podobnej operacyi.

Ażeby publiczność mogła należycie widzieć mimikę i wyraz twarzy grającego w porze wieczornej, przy każdym aktorze zjawia się cień, trzymający świecę na kiju. I tu również

litewskich. Były tu bożki pogańskie, broń i narzędzia oraz ozdoby kamienne, bronzowe i żelazne, dwie tarcze skórą żubra pokryte i wiele innych drogocennych przedmiotów na ziemi litewskiej znalezionych. W muzeum tem był nadto stół i ławy, tak że kilkanaście osób swobodnie mieścić się mogło. Obok Baublisa był inny jeszcze pień odwiecznego dębu także niezmiernej wielkości. I ten troskliwy Paszkiewicz na muzeum zamienił. Gdzie się podziały te drogocenne zabytki—niewiemy.

VIII.

Któż nie zna pięknego *Kowna*, kto nie słyszał o tej *Wilii strumieni rodzicy*, lub o tej dolinie, o której wieszcz powiedział:

> Widziałem piękną dolinę przy Kownie,
> Kędy Rusałek dłoń wiosną i latem
> Ściele murawę, krasnym dzierzga kwiatem,
> Jest to dolina najpiękniejsza w świecie!..

Dolina ta przechowała nazwę *Mickiewiczowskiej*, chociaż dziś już kolej żelazna ją przerzyna, rozrastające się miasto część doliny zajęło—w dalszym jednak ciągu zwie się zawsze podawnemu, a nawet ocalał kamień na którym poeta lubił siadywać.

Piękne jest położenie Kowna! Tu ujście Wilii do Niemna, w półkole otaczają pasma wzgórz, a u ich podnóża wązkim szlakiem rozciąga się *Aleksota*, siedziba Mildy, bogini miłości litewskiej. W samem zaś mieście, za dynaburską szosą jest *góra zielona*, z którą również związane podanie o Mildzie. W przesmyku gdzie Wilija łączy się z Niemnem *był święty gaj z czarnemi krukami*, miejsce to i dziś nazywają gajem. Na lewym brzegu Niemna od ujścia Essy do Marwianki rozpościera się głęboki wąwóz, w którym Litwini palili ciała swych nieboszczyków. Ślady tego zgliszcza do dziś dnia są widoczne. Znajdują tu dużo bardzo węgli, popiołu, kosteczek przepalonych. W wąwozie rosną wspaniałe dęby, z których najmłodsze mogą mieć lat 400, a jest niemało pniów, w których ilość słojów przekonywa o ich wielowiekowem istnieniu.

Bo też stary to gród—to Kowno (Cauna, Caonia, Cawonia,Cawna). Podług tradycyj i bajecznych legend Stryjkowskiego, oraz Kojałowicza założycielem Kowna miał być Kunas syn mitycznego Palemona w X wieku. Inni chcą mieć tutaj siedzibę *Kaunisa*, Kupidyna, syna Mildy od którego jakoby i sama nazwa powstała.

Zaledwo od wieku XIII Kowno staje na widowni historycznej, a dzieje jego następne, to nieprzerwany łańcuch krwawych utarczek z Krzyżakami. Zamek Kowieński już za czasów Witenesa był silny, wzmocniony przez Gedymina, nie łatwy był do zdobycia, a niejedna głowa krzyżacka pod jego murami poległa. Ruiny zamku, właściwie gruzy, które i dziś są widzialne, zbudowane były przez samych Krzyżaków w r. 1384, gdyż dawny zamek w wojnie z Jagiełłą przez nich zburzony został. Wtedy to oni zrobili przekop od Wilii do Niemna i na utworzonej wyspie wzniesli zamek, nazwany *wyspą rycerską*, (Rithersuwerder). Lecz sławny Witold już w październiku obległ zamek wraz z Jagiełłą i zdobył, a w tym samym czasie Konrad Walenrod wówczas marszałek zakonu stał na górze z oddziałem i nie mógł, czy nie chciał, ratować pobratymców.

Ciekawe są i dalsze dzieje Kowna, lecz my tu powtarzać ich nie możemy, odsyłając ciekawych do dzieł Narbutta, Jaroszewicza, Kraszewskiego i Balińskiego.

Od Witolda zaczyna się rozkwit miasta i przeważne jego handlowe stanowisko do czego dwie spławne rzeki nie mało przyczyniały się. Miało Kowno swoje prawa magdeburskie, znaczne grunta, lasy i nawet poddanych, których mu nadał Zygmunt I po Michale Kniaziu Glińskim. Zygmunt August lubił niekiedy przebywać w Kownie i tu podejmował hojnie Jana Księcia Finlandzkiego, brata Eryka króla szwedzkiego. Z tej epoki widzimy już wspaniałe domy murowane, znaczną liczbę rzemieślników i handel rozległy. Oprócz kilku kościołów, Ewangielicy mieli tu swoje zbory i drukarnię. Znany uczony autor życia Iwana Groźnego, Paweł Oderborn był tu ministrem. Już od XVI wieku Kowno szczególnie zasłynęło handlem *ogółowym*, którego obrót do milijona dukatów wynosił rocznie. Były tu faktoryje zagraniczne: holenderska, angielska, pruska, szwedzka i niemiecka. Tu także ustanowioną została główna komora celna. Od Witolda aż do Jana Kazimierza błogi był stan miasta, które już liczono do rzędu większych i słynniejszych miast. Skończyło się to wszystko jednocześnie z wojną za panowania tego króla. Miasto zniszczone, spalone, straciło co do jednego swoje przepyszne gmachy, straciło przewagę handlową; ludność zubożała i podupadła zupełnie, a niepowstała już nawet i niewróciła do dawnych kwitnących czasów, tak że obecna epoka dla Kowna jest już stokroć pomyślniejszą. Ogólny to los prawie wszystkich miast litewskich, które od zgonu ostatniego Jagiellona podupadać i niszczeć zaczęły.

W przeszłym wieku Kowno stanowiło ekonomiję zamożną w piękne grunta i lasy i było stolicą powiatu. W wieku bieżącym również było miastem powiatowem aż do r. 1843 kiedy zostało miastem gubernijalnem nowo utworzonej gubernii Kowieńskiej. Od tego to czasu i wzrost miast zwiększać się zaczął. Jednocześnie z otwarciem sądownictw gubernijalnych wzniesiono tu wspaniały pomnik lany z żelaza na pamiątkę szczęśliwego ukończenia wojny 1812 r. wiadomo bowiem że do Kowna ściągała armija francuzka i stąd także sam Napoleon I i jego wojska uciekały z kraju po strasznych klęskach. Pomnik ten stoi na głównym placu w pośród *Starego Miasta* gdzie stał wspaniały ratusz miejski, zamieniony dziś na dworzec cesarski. Miasto dzieli się obecnie na dwie części, stare, gdzie dawne świątynie, starożytne domy, a między niemi w ulicy wiodącej do mostu na Niemnie bardzo starożytny gmach gotycki, przez mieszkańców zwany świątynią Perkuna, chociaż na to najmniejszych dowodów nie ma. Tu także ów główny plac czyli dawny rynek, włoskiemi topola-

---

powątpiewamy, czyby niektóre z artystek naszych zgodziły się na tak niedyskretne odkrywanie wdzięków twarzy.

Widzimy więc, że pewne reformy nie dadzą się tak łatwo zaprowadzić w społecznem życiu naszem.

Ale...ale...słyszeliśmy, że podobno kilku znakomitych uczonych naszych z pomiędzy braci literackiej idąc za przykładem innych Europejczyków, ma zamiar podążyć do Japonii w celu zaliczenia się do grona profesorów nowo założonej szkoły w Tokio, a pewna *dobroczynna* instytucyja ofiaruje sporą sumkę na koszta podróży. Niektórzy utrzymują, że podobna emigracyja wpłynie ujemnie na polemiczne ożywienie prasy naszej. W każdym razie szanowni panowie nie zaszkodziłoby wprzód sprobować nieco sił swojej inteligencyi, bo zapewne wiadomo wam, że do programu wykładanych w Japońskiej szkole nauk wchodzi: 1) nauka ortografii 2) elementarne choćby wiadomości z matematyki, 3) historyja, przynajmniej w zakresie opracowanym w dziele profesora Skrzypińskiego, 4) znajomość geografii bez pomocy środków komunikacyjnych, 5) wreszcie nauki przyrodnicze podług znakomitego dzieła profesora Wagnera, p. t. „Podróż naukowa po pokoju, odbyta z młodemi przyjaciołmi.“ Obrachowawszy należycie siły swoje, odświeżywszy wreszcie w pamięci to, co w skutek długoletniej mozolnej pracy na niwie piśmiennictwa krajowego, utonęło w mgle zapomnienia, odzywając się tylko niekiedy w niejasnych reminiscencyjach, możecie śmiało udać się do nowej krainy i z pożytkiem tam dla oświaty pracować. Obawiać się tylko należy, żeby kiedyś uczniowie, doścignąwszy nauczycieli swoich, nie zażądali świeżego transportu uczonych z bogatszym zapasem wiadomości, a dawnych do jakiej pośledniejszej nie zaprzęgli roboty.

A propos szkół, dochodzą nas wieści, że założona od dziesięciu lat w Pekinie szkoła nauk europejskich, w gronie tamtejszej młodzieży zupełnie prawie nie znajduje zwolenników. Otóż, czyby jaka kraina europejska nie zechciała z równym może pożytkiem wysyłać tam na naukę cząstkę młodzieży szkolnej, która dla braku miejsca nie znajduje pomieszczenia przy krajowych zakładach naukowych.

Z obcej krainy przejdźmy znowu w sferę naszego życia. Jak już dawniej zauważyliśmy, jednym z głównych przymiotów moralnych ogółu naszego jest *hojna dobroczynność*. A nadobne to kwiecie wzniosłych uczuć bujnie zakwita szczególniej w sercach sentymentalnych obywatelek nadwiślańskiego grodu. W szlachetnych piersiach ich, drży struna miłosiernych popędów, trzeba tylko umieć należycie ją poruszyć. A przedewszystkiem niezbędnem jest zachowanie estetycznych warunków w formie błagania o jałmużnę. Bo proszę, jakżeż to trywijalnie brzmią te słowa. „Na kawałek chleba!“ lub „głodny jestem!“ Zupełnie inaczej maluje się to w przecudnej mowie Franków. Jakiż wdzięk, jakaż dystynkcyja w wyrażeniu — a to są rzeczy niezbędne dla poruszenia czułego i wykwintnego serca. To też tego rodzaju żebranina znacznie się w ostatnich czasach u nas rozpowszechniła. Byliśmy niedawno świadkami faktu, który prócz łez szczerego rozczulenia, prawdziwym zachwytem na

mi osadzony. Nowe miasto rozciąga się na przestrzeni około dwóch wiorst od prawego brzegu Niemna. Nowe to miasto zabudowane jest pięknemi domami w ulicach prostokątnych tworzących powierzchnię poprzeżynaną w kwadraty. Miasto posiada majątek w gubernii Wileńskiej, zawierający 2,758 dziesięcin, a w samem mieście 921 dziesięcin. W r. 1817 było tu zaledwo 200 domów, dziś liczą blizko 1,900, a w tej liczbie przeszło 300 murowanych. Miasto posiada 360 sklepów, około 90 zakładów konsumpcyjnych. Są tu dwa gimnazyj: męzkie i żeńskie, innych zakładów naukowych 7. Kościołów w r. 1866 było 8, z tych wspaniały kościół gotycki św. Piotra i Pawła. Wspomnieliśmy wyżej, że tu jest rezydencyja biskupa i zarządu dyjecezyjalnego z seminaryjum Cerkwi prawosławnych 2, z pojezuickiego i franciszkańskiego kościołów przerobione. Kościół protestancki 1. Ludność miasta wynosi do 35 tysięcy. Handel coraz bardziej wzmaga się. Kowno połączone siecią kolei żelaznych z zagranicą i głównemi miastami państwa. Bywa tu dość liczny jarmark na św. Piotra, 29 czerwca i trwa do 12 lipca. Liczą dwadzieścia kilka fabryk, z lichym obrotem bo zaledwo 40 tysięcy rubli sięgającym—z tych fabryka cygar dość znaczna, bo wyrabia przeszło za 20 tys. rubli wcale niezłych cygar. Są tu wreszcie duże drukarnie i kilka księgarni.

d. c. n.

SPRAWY WYCHOWANIA

III.

Chorobliwy płacz dzieci.

W 13 Numerze „Opiekuna" staraliśmy się objaśnić ogólne znaczenie płaczu w życiu niemowlęcia — obecnie chcielibyśmy pomówić o *chorobliwym płaczu dzieci*. Płacz, jak wspomnieliśmy poprzednio, albo wyraża prośbę której dziecię inaczej przedstawić nie umie, albo jest prostym wynikiem kaprysu. Kaprys to rzecz nieznośna; dobrze jednak baczyć potrzeba czy płacz nie ma innej przypadkiem przyczyny — przyczyny np. takiej której dziecko przezwyciężyć nie jest w stanie. — Od odpowiedzi na to pytanie zależy zdefinijowanie kaprysu i zarazem stosowne przeciwko niemu środki zaradcze.

Zdarza się i to nawet dosyć często, że dzieci z usposobienia wesołe, żywe, zapłaczą czasem wskutku grymasu chcąc to lub owo otrzymać. Skoro jednak uczyniono im zadosyć, znowu są wesołe i swobodne. Bywa jednakże niekiedy inaczej. Nie wdając się w teoretyczne wywody, przedstawimy kilka przykładów chorobliwego płaczu, poczerpniętych z jednego z obcych pism poświęconych pedagogice, jakie właśnie mamy przed sobą. — Oto te przykłady.

Miałam u siebie pisze doświadczona nauczycielka 8-letnią dziewczynkę — ładną i zdrową na oko, chociaż silne rumieńce na milutchnej twarzyczce i wielka ruchliwość przy opowiadaniu — budziły we mnie niejakie obawy. Dziewczynka ta pochodziła z możnego domu; wcześnie bardzo straciła matkę i wychowywała się pod opieką kuzynek i piastunek. Ojciec utrzymywał że bardzo choruje na robaki. Dziewczynka nie wyróżniała się niczem zgoła z pomiędzy innych uczennic, od czasu tylko do czasu popadała w płacz tak gwałtowny że jej utulić nie było sposobu.

Powodem do płaczu bywała zazwyczaj jakaś bagatela na którą inne dzieci najmniejszej nie zwracały uwagi. Rozpoczyna się dajmy na to lekcyja — wszyscy piszą — dziewczynka o której mowa siedzi, położywszy główkę na ławce.

„Co ci jest zapytuję łagodnie — ale nie otrzymuję odpowiedzi.

— Czy ci kto nie zrobił co złego zapytuję powtórnie.

— Ołówek mi się ułamał, odzywa się głosem płaczliwym, potem zaczyna żywo ale niewyraźnie coś mówić tak, że nic pojąć nie można o co jej właściwie chodzi — nareszcie zaczyna łkać, poczem wybucha płaczem i krzyczy.—

Za pierwszym razem wypadek taki zrobił na mnie wrażenie nadzwyczaj silne; chciałam biedaczkę przytulić, pocieszyć, podałam jej swój zaostrzony ołówek, podałam scyzoryk nawet — wszystko to jednak na nic się nie przydało, zaczęła mnie owszem szorstko od siebie odpychać, płacząc i krzycząc coraz mocniej.

Poczekawszy czas jakiś i spostrzegłszy, że mi się na razie nic zrobić nie uda, poprosiłam płaczącej aby poszła ze mną do sypialnego pokoju i położyła się do łóżka — ale i na to zgodzić się nie chciała.

Powtórzywszy żądanie raz i drugi, zmusiłam ją wreszcie aby wyszła z klasy — w drugim atoli pokoju płacz w jakiś ryk się przemienił, dziewczynka poczęła tupać nogami, uderzać głową o ścianę — i nareszcie posłyszałam od czasu do czasu klątwy jakieś niewiadomo ku komu skierowane. Powiedzieć co jej jest i dla czego płacze, żadną miarą nie mogła czy nie chciała. Kiedym weszła znowu aby ją zobaczyć, dostrzegłam iż gorączkowo chwytała się za brzuch rękoma — jęknęła czasem „oj boli" — przyczem ochrypła już prawie zupełnie i zrobiła się siną prawie. Zlękłam się bardzo i poczęłam prosić aby się położyła, ale moje słowa wzmagały płacz tak samo jak każde pojawienie się w pokoju kogoś obcego, krzyk jej powiększało.

Wyszłam z pokoju i postanowiłam nie pokazać się dopóki się nie uciszy. W pół godziny uspokoiła się dziewczynka postała czas jakiś w kąciku smutna, potem powróciła do klasy, usiadła na swoje miejsce i wzięła się do jakiejś roboty jakby nic nigdy nie było. Ze mną rozmawiała swobodnie ale o tem co zaszło nie wspomniała ani słówka.

— No powiedz mi też czy warto było płakać o rzecz tak błahą, odezwałam się pierwsza.

Dziewczynka zarumieniła się, uśmiechnęła i wstrząsnęła lekko główką.

---

pełnił duszę naszę. W pewnej cukierni mieliśmy przyjemność zająć miejsce nieopodal od grona dam z eleganckiego widocznie świata, gdyż świadczyła o tem wykwintna rozmowa, przerywana niekiedy uroczym dźwiękiem nadsekwańskich tonów. Wtem wchodzi do zakładu ubogo ubrana osoba i zbliżywszy się do rzeczonych dam, prawdziwie paryzkim akcentem błaga o wsparcie niedoli. Prosić o jałmużnę to lada kto potrafi, ale prosić po francuzku to nie bagatela!... To też czcigodne niewiasty, rozczulone do głębi duszy eleganckiem ubóstwem, hojnym datkiem obdarzyły dystyngowaną żebraczkę. Skoro zaś w kilka minut potem prawdziwa nędza przemówiła do nich naszym prostym językiem, piękne damy z niezadowoleniem zwróciły się w przeciwną stronę.

Pocieszające zaiste odkrycie! Wynaleźliśmy więc najlepszy klucz do serca czułych Warszawianek. Dalej nieszczęsne ofiary nędzy i ubóstwa, otrzyjcie czemprędzej łzy niedoli i zabierzcie się szybko do nauki, a skoro zrobicie należyte postępy w ojczystej mowie Franków, pukajcie czemprędzej do litości dusz miłosiernych, a z pewnością wtedy datki posypią się do pustej kieski. Panowie filantropi!—czy nie możnaby założyć jakiej szkółki, gdzieby bezpłatnie lub za bardzo małe wynagrodzenie udzielano lekcyj francuzkiego języka dla nędzy wyjątkowej, a nie wstydzącej się żebrać. A przedewszystkiem, łaskawi panowie, zwróćcie uwagę na to, aby wychowańcy zakładu mówili czystym paryzkim akcentem!!! Niechaj bieda dźwięczniej przemawia do duszy szlachetnych a czułych cór dobroczynnego grodu naszego.

Ale a propos żebractwa. Jest u nas w zwyczaju tak nazwana *jałmużna ciastkowa*, która zwykle w piątek się uskutecznia. Najobfitszy to plon dla różnego rodzaju włóczęgów. Różne też indywidua powołane i niepowołane korzystają z tej sposobności. Oto fakt trudny może do uwierzenia, lecz niestety prawdziwy.

Przed niedawnemi czasy bywając często w pewnym domu u przyjaciela mego, ciekawie spoglądałem niekiedy na przeciwległe okna, po za któremi kryło się skromne mieszkanko, składające się z dwóch pokoi, przedpokoju i kuchni. Było tam dosyć ubogo, lecz szczególnej nędzy nie można było dopatrzeć. Lokatorami tej skromnej siedziby było dwoje starych ludzi i młode a powabne dziewczę, które właśnie stanowiło główną przynętę dla ciekawych oczu felijetonisty waszego. (Przebaczcie mi tę otwartość łaskawe czytelniczki!).

Pewnego razu wstąpiwszy na skromne śniadanko do jednego z zakładów cukierniczych właśnie w dzień piątkowy, przeznaczony specyjalnie na miłosierdzie, w gronie pukających do czułego serca cukiernika ujrzałem znajome oblicze. Z początku nie mogłem przypomnieć sobie, gdzie je widziałem; wreszcie po długiej reminiscencyi myśl moja spoczęła na tych oknach, gdzie często z ciekawością ścigałem uroczą postać dziewczyny. W samej rzeczy, owym żebrakiem, był nie kto inny, jak tylko lokator apartamentu, składającego się z dwóch pokoi, przedpokoju i kuchni... Widocznie nie tak źle się ma u nas ubóstwo, kiedy nawet w obec drożyzny mieszkań nie potrzebuje wycierać wilgotnych poddaszy, znajdując przytułek we wcale przyzwoitem schronieniu.

Fakt powyższy nie jest wyjątkowym. Zna-

Miałam też inny jeszcze z tą samą płaczką wypadek. Koleżance z którą żyła w najściślejszej przyjaźni, splamiła przypadkiem fartuszek.

„Patrz zwalałaś mnie, rzekła ostatnia jak najdelikatniej — a w odpowiedzi rozległ się natychmiast płacz i krzyk straszliwy. Wszystkie uczennice uciekły zaraz do drugiego pokoju — bo słuchać krzyków nie chciały, ale dziewczynka pobiegła za niemi i płacząc w dalszym ciągu zaczęła im wymyślać. Kazałam ją zabrać przemocą i odnieść do sypialni. Podczas tych przenosin podrapała twarz przenoszącemu i całą garść włosów mu wydarła. Klątwy sypały się jak z rękawa — chociaż zazwyczaj nikt niegrzecznego słowa na ustach jej nie słyszał, i znów dostrzegłam, iż konwulsyjnie prawie ściska się za brzuszek. W godzinę uspokoiła się i usiadła do kolacyi, o tem co było ani się jednem słowem nie odzywając.

Wypadki takie przytrafiały się dosyć często, a powody były zawsze nic nieznaczące — to słońce za jasno świeciło, to książki nie znalazła na właściwem miejscu, to nie dosłyszała co jej ktoś powiedział, nie zrozumiała co ma napisać i t. p. Nigdy nie poprosiła o nic, ale jeżeli nie stało się tak jak pragnęła — dalejże płakać i krzyczeć. Męczyło mnie to strasznie a psuło porządek szkolny. Na dzieci inne sceny podobne wcale nie dobrze oddziaływały, a nieraz śmiano się z niej gdy się przekonano jak słabym był powód do płaczu. Gniewały mnie nieraz te beki, ale okazać tego nie miałam nigdy odwagi, bo żal mi było z drugiej strony dziewczątka.

Wypytywałam ojca i kuzynki i dowiedziałam się, iż w domu częściej płakała jeszcze, przyczem biła, ojca nie wyłączając, wszystkich kto się wtedy do niej przybliżył. Po niejakim czasie, panienkę tę powierzono mi zupełnie, to jest zostawiano mi ją na dzień cały, a na noc tylko zabierano do domu. Mając obecnie możność zbadać bliżej jej charakter przekonałam się, że dziewczynka ani pasyjonatką ani złośliwą nawet nie była, że owszem było to dobre dziecko dopóki się nie rozpłakało. Zaczęłam tedy usuwać starannie najlżejsze przyczyny płaczu — bo mniej więcej poznałam się z niemi, karciłam ostro każdego kto ją czemkolwiek podrażnił. — Ogłosiłam dzieciom innym, że dziewczynka jest słabą i że nie można jej się niczem a niczem sprzeciwiać. — W klasie trzymałam ją zawsze obok siebie, a gdy dostrzegłam że chce czegoś, pierwsza się o to natychmiast pytałam. Zauważyłam że się boi małej psinki z którą bawiły się swobodnie dzieci dwuletnie, zabroniłam stanowczo wpuszczać onej do pokoju, bez względu że nauczycielki inne miały mi za złe, iż zamiast łagodzić podniecam tym sposobem jej obawy zbyteczne. Zauważyłam że ją drażni gdy jej poprawiam omyłki w pisaniu. Odtąd czas jakiś skoro mi kajet swój podała, nie podznaczałam zupełnie błędów.

Czy nie ma żadnej zmyłki, zapytała mnie wreszcie dziewczynka?

— Jest sporo odpowiedziałam, ale nie będę poprawiać — bo czuję że się o to gniewasz. Takiem usuwaniem powodów do płaczu, doszłam do tego że moja mała płakała rzadziej daleko i w domu nawet znaczną w niej zmianę spostrzegli.

Dziewczynka przywiązała się do mnie, a była z nieprzyjaźnią dla wszystkich którzy ją zadrasnęli w czemkolwiek. Gdy obecnie zapłakała czasem, przemawiałam doń łagodnie, i zawsze mnie posłuchała. Po kilku miesiącach zaprzestała płakać nareszcie. Skoro teraz jej co potrzeba było, przychodziła o to prosić, gdy jej kto dokuczył przychodziła się użalić — czego przedtem nie robiła nigdy. Zachodzi zatem pytanie: czy to były kaprysy w właściwem tego słowa znaczeniu, czy też było to chorobliwe rozdrażnienie, spowodowane jakąś wewnętrzną organiczną przyczyną (robaki lub coś podobnego). Najmniejsza przyczyna silnie oddziaływała na jej układ nerwowy powodując płacz i jęki. Jednakże kiedy usunięto przyczyny drażniące, to lubo nie uleczyło to jej właściwie, ale uchyliło płacz — co korzystnie oddziaływać na nerwy musiało.

Z kolei zaczęłam poprawiać omyłki w jej ćwiczeniach. Śledziła za tem bacznie, nie była kontenta gdy się błędów znalazło sporo, ale nie płakała z tego powodu. Namówiłam ją dalej aby siedziała spokojnie gdy do pokoju pies wchodził i przychylała się do żądania mojego. Wreszcie czasami lekką jej jakąś zrobiłam wymówkę gdy niekiedy coś niewłaściwego zrobiła, a i to nie drażniło jej teraz.

Po sześciu miesiącach dziewczynka zmieniła się do niepoznania. Robaki dokuczały jej jak poprzednio, często się na ból brzuszka skarżyła, ale nie płakała już wcale. — A teraz przykład inny.

2) Pięcioletni chłopczyk, sympatycznej powierzchowności przychodził w ciągu całego miesiąca do Froeblowskiego dziecinnego ogródka. Rodzice zapytywali codzień prawie czy chłopczyk ten nie kaprysi, i odpowiadano im stale, że się sprawuje wzorowo. Dotąd było tak rzeczywiście.

Razu jednego to samo dziecko siedziało w ogródku i kopało. Skoro przyszedł czas powrotu do stancyi, nauczycielka wezwała go aby poszedł za nią. Chłopiec pójść nie chciał. Nauczycielka wzięła go więc za rękę i chciała za sobą pociągnąć — ale malec odtrącił ją i powiedział hardo: „nie pójdę—tutaj zostanę.“ Pozostawiono go jak sobie tego życzył. Inne chłopcy podrażnili go żarcikami, chłopiec rzucił się na ziemię i począł płakać na całe gardło. Wzięto go na ręce aby zanieść do pokoju, ale zaczął kopać nogami i szamotać się z taką siłą, jakiej w dziecku 5-letnim przypuszczać nigdy nie można. W pokoju rzucił się znów na podłogę, przewracał się na wszystkie strony i wydawał jakieś jęki przerażające. Położono go do łóżka, ale wydzierał się na podłogę. Zaczęto go uspokajać, pocieszać, chłopiec się wił i gryzł sobie ręce. Dla nauczycielki było w tem coś nie pojętego, niezwykłego. Oczy dziecka wyszły na wierzch i krwią zabiegły, twarz była rozpalona, w ustach zebrała się piana, wrzeszczał głosem ochrypłym, ale łzy nie płynęły — od czasu do czasu rzucał jakieś przekleństwa, lub wyrazy

---

my drugi jeszcze jaskrawszy. Do tej samej cukierni wszedł pewnego razu ubogo dosyć ubrany jegomość i zwróciwszy się do właściciela zakładu, pokornym tonem prosił o parę ciasteczek dla dzieci.

— Jak to pan, obywatel, właściciel domu, śmiesz wyciągać rękę po miłosierny datek! zawołał z oburzeniem cukiernik.

Nie zrażony takiem odkryciem *incognito* posiadacz skromnej posesyjki w odległym zakątku przyokopowej okolicy, ozwał się znowu smutnym tonem.

— Co to, łaskawy panie, za dom, co za bogactwo! — toć i na życie wystarczyć nie może!

— Na cóż więc ciastka dla dzieci, kiedy na życie nie wystarcza!

— Trzeba choć raz sprawić przyjemność tym drobnym aniołkom!...

Bez wątpienia, drobne te aniołki wyjdą zapewne na zacnych ludzi pod opieką tak czułego i szlachetnego ojca.

Ma więc Warszawa tajemnice swoje...

Do rzędu ich zaliczyć też można głęboką politykę panów właścicieli domów, wobec bliskiego przesilenia na niekorzyść tych despotycznych władców naszych kieszeni. Zdaje się jednakże, że nadchodząca pora letnia zrobi im małą niespodziankę, i nie zajęte mieszkania będą przez pewien czas używały świeżego powietrza. Niektórzy z tych panów czują już bliski upadek swej władzy i gorzkiemi słowy narzekają na szeroko rozwinięte obecnie u nas, przedsiębiorstwo budowlane.

— Czy ci ludzie powaryjowali; a toć to oczywiste zmarnowanie pieniędzy! Człek przy sporej kamieniczce zaledwie wyżyć potrafi. Oj te podatki, te podatki!...

Melancholiczne rozmyślania biednego obywatela przerwały odwiedziny pokornego sługi—lokatora, który z nizkim pokłonem złożył u nóg swego pana należną daninę za skromne nader schronienie swej doczesnej egzystencyi, w zamian czego otrzymał miłą wiadomość o podwyższeniu komornego.

Hulajcie, szanowni panowie, dopóki nieprzyjazne wiatry nie strącą was z piedestału wszechwładnej potęgi!

A może liczycie na nowych przybyszów!..

W samej rzeczy, razem z wiosną i ptastwem z ciepłych krajów ciągną ku nam tłumy *kulturträgerów zachodu*. Nie dawno widzieliśmy przeciągającą przez miasto nasze znaczną kalwakatę wozów i wózków na których spoczywali przyszli przedstawiciele przemysłu i handlu naszego. Piękny zaiste widok przedstawia ta pielgrzymka *do ziemi obiecanej*, mlekiem i miodem płynącej. W samej rzeczy nie tylko mleka i miodu, ale nawet i pieniędzy u nas wcale nie brakuje. To też wielcy Rotschildowie i arystokraci nadwiślańscy, nie wiedząc, co robić z tym marnym kruszczem, dzielą się nim szczodrze z obcymi. Oto niedawno pewien szlachetny ulubieniec fortuny zakupił u paryzkiego jubilera dla małżonki swej, sznur pereł za sumę milijona franków. Na jakiż bo inny użytek możnaby obrócić tak olbrzymi kapitał?.. Może na wsparcie przemysłu krajowego?.. Ależ to rzecz niemiecka i mieszczańska. Może na rozwój handlu?.. Jakto, szlachcic z dziada pradziada miałby kalać ręce zajęciem, które tylko żydowi lub jakiemuś pospolitemu szaraczkowi, a nie karmazynowi przystało!

bez związku. Trwało to z pół godziny. Należało odejść od niego, ale nie można było pozostawić samego, przyzwano więc z kuchni kucharza aby go przypilnował. Skoro ten ostatni zjawił się w pokoju począł wstydzić chłopca mówiąc ostro jak paniczowi nie wstyd tak wrzeszczeć — proszę się uciszyć zaraz. Chłopiec natychmiast przestał płakać, ale natychmiast usnął i spał ze dwie godziny, poczem wstał rześki i najgrzeczniejszy znowu. W domu chłopczyk ten często robi tak samo, za co biją go czasem, a czasem nic mu nie mówią. Czy to płacz chorobliwy, czy tylko zapuszczone grymasy?—I wreszcie jeszcze jeden przykład.

3) Trzyletni chłopczyk, nadzwyczajnie żywy i wesoły jest nadzwyczajnie uparty. Płacze bardzo często szczególniej gdy jest z matką razem. Najmniejsza odmowa wywołuje potoki łez. Czy prosi o co, czy żąda czego, objawia to za pomocą płaczu. Żąda np. chleba, matka wie o tem że się najadł przed chwilą i odmawia. Chłopiec zaczyna łkać i krzyczeć: chleba! chleba!—proszę dać mi chleba. W pokoju nic teraz robić nie można. Matka widząc że płacz ten gniewać ją poczyna, zabiera się do wyjścia z pokoju; malec to spostrzega chwyta się jej silnie i woła „nie będę już— nie będę.“ Ale zaraz znowu zaczyna się napierać czegoś. Drugi raz czy trzeci powtórzone żądanie, już jest znacznie głośniejsze i znowu aż głucho od płaczu. Chłopiec krzyczy ale teraz sam nie wie czego chce i dla czego płacze — ani się już uspokoić ani przyjść do siebie nie jest w stanie. Jeżeli dziecko płacze chorobliwym płaczem, to żadną miarą nie można je pozostawić samemu sobie, jak radziliśmy robić z dzieckiem zdrowem i kapryszącem. Płacz chorobliwy potrzebuje szczególnej uwagi i troskliwości ze strony osób starszych. Samo dziecko nie jest w stanie uspokoić się i pocieszyć. Rolę tę musi wziąść starsza osoba na siebie, inaczej dziecko będzie się drażnić coraz więcej i zasłabnąć może. Jeżeli można je uspić w tym czasie, środek to najskuteczniejszy.

Pamiętać koniecznie należy że różne z różnemi dziećmi są sposoby postępowania. Zupełnie co innego kaprys a zupełnie co innego stan chorobliwy dziecka. Do płaczu chorobliwego należy zaliczyć także płacz który wywołało zawstydzenie się wysoka wrażliwość lub uczucie doznanej krzywdy albo obrazy.

Dzieci podobnego usposobienia trzeba przedewszystkiem wzmacniać, zachęcając je do zajęć fizycznych, trzeba w nich przytem myśl zdrową obudzać. Płacz chorobliwy, powstały z powodu złości lub uporu, jakiego przykład zaznaczyliśmy powyżej, jest zjawiskiem dosyć często spotykanem między dziećmi i seryjo leczyć go potrzeba.

Człowiek kopalny.

Ślady prastarej metryki człowieka. — Podział warstw ziemnych. — Wykopaliska z epoki kamiennej. — Szczątki człowieka plioceniczuego znalezione w Obozowisku Aniołów. —Kości z epoki diluwijalnej.— Słynna czaszka Neanderthalska. — Spór o nią między przyrodnikami. — Odkrycia poczynione w grocie Aurignac. — Jaskinia Cro-Magnon. Wiek rena. — Okazy pochodzące z grot Eyzies.— Mussat, Schussenried i Madelaine. — Skielet z Mentony. — Epoka kamienia gładzonego. — Kult tegoż kamienia. — Kjoekken-moeddlingsy. — Ludożerstwo. —Torfowiska Danii.—Sosny, dęby i buki.-- Miasta nawodne. — Odkrycia Kellera w jeziorze Meilen. — Rasy. — Języki i mytologija. — Egipt. Starożytność piramid. — Epoka bronzu. — Co wiemy o Celtach. — Palenie zwłok ludzkich. —Skielety Inflandzkie. — Epoka żelaza. — Tradycyje historyczne. — Grobowiska Halstadtu. — Rzut oka wstecz. — Obyczaje ludów pierwotnych. — Zawiązek instytucyi małżeństwa. — Chronologija geologiczna. — Słówko w sprawie przeszłości naszych praojców. — Cyfry pozostawione do zsumowania czytelnikowi.

Odkrycia archeologiczne okazały najjawniej że kolebka ludzkości sięga wieków daleko odleglejszych od epoki wskazanej przez podania tradycyjne. Ślady istnienia człowieka znaleziono w formacyi trzeciorzędowej której grubość dochodzi 3000 stóp pol, a ileż to wieków musiało upłynąć, za nim utworzyła się każda taka stopa.

Geologowie dzielą pokłady składające skorupę ziemską na pięć utworów a mianowicie: *Pierwotny* złożony z formacyi Kambryjskiej—*Przechodni* jaki stanowią formacyje: Syluryczna, Dewońska, Węglowa i Permska —*Drugorzędowy* do którego należy formacyja Tryasowa, Jurasowa i Kredowa *Trzeciorzędowy* z eocenem, miocenem i pliocenem, wreszcie *Czwartorzędowy* złożony z formacyi diluwijalnej i aluwialnej. W epoce diluwialnej ziemię pokrywały lody i śniegi — okres ten nazywamy *lodowym* a przychodzący za nim *polodowym*. Od epoki eniocenicznej, do aluwialnej w jakiej żyjemy, upłynął niepospolity cykl czasu. Lyell geolog angielski, jeden z koryfeuszów wiedzy przyrodniczej, zmarły niedawno, oznaczał starożytność rodu ludzkiego, na 200000 do 300000 lat. W tak olbrzymim przestworze czasu, człowiek spełnić mógł rozwój fizyczny i umysłowy najdonioślejszego znaczenia i stać się wszechwładnym panem ziemi! O stopniowym rozwoju w tym kierunku człowieka, mówią nam czaszki i szczęki ludzkie, znalezione w starożytnych warstwach ziemi.

W Abbeville, Acheul, w dolinie Sommy w Quse, w jaskini około Brixham w hrabstwie Devonschire, w grocie miasta Grand — Précigny — wreszcie w Azyi, Afryce, Ameryce i Nowej Zelandyi znaleziono liczne szczątki człowieka wraz z wyrobami jego przemysłu, a mianowicie bronią krzemienną i narzędziami które zagrzebane były w tych głębokich warstwach wraz z kośćmi mamutów, tygrysów jaskiniowych, hyjen kopalnych i innych zwierząt świata pierwotnego.

Człowiek istniejący według Humego w miocenie, przejawia się przecież najwyraźniej w okresie diluwijalnym.—Richard wykrył kości ludzkie w Palestynie—Lenormaut w Egipcie—Bexbrugger około Konstantyny—Lartet w Syryi. Jaskinie były dostarczycielkami najciekawszej kolekcyi czaszek. Boucher de Perthes znalazł w jaskiniach Brunniquel i Ponttlevoy czaszkę wąskogłową której rozwój anatomiczny

---

W ogóle więc nie możemy narzekać na brak pieniędzy, kiedy tak szlachetnie pogardzamy tą doczesną mamoną. Wprawdzie przyszłość w dali niekiedy niezbyt jasne ukazuje oblicze. Ale co tam myśleć o przyszłości!

Są jednakże ludzie, którzy pamięć o niej posuwają do oryginalnych prawdziwie wybryków. Oto niedawno w Kaliszu zmarł Dr. S., który zapisał testamentem 15,000 rs. dla członków swej familii, z warunkiem jednakże, iż pieniądze te nie wcześniej wypłacone zostaną, aż ofiarowany kapitał, złożony w Banku Polskim, urośnie procentami do milijona złotych. Zaiste, godna podziwu pamięć o przyszłych dziejach najdroższych istot! Uszczęśliwiona rodzina zmarłego może spokojnie zasypiać... choćby na łożu ubóstwa, w błogiem przekonaniu, że kiedys późniejsi potomkowie jej zabłysną bogactwem i dostatkami.

Widzimy więc, że ogół prowincyjonalny myśli szczerze o przyszłości. Nie zapomina on jednakże i o teraźniejszości. Zasmakowawszy w córce p. Angot, pragnie zdobyć jak najwięcej arcydzieł znakomitego *Lecoqu'a*. Zaprzęga nawet pióra prowincyjonalnych literatów do przelewania w dźwięki ojczystej mowy wesołej piosenki nadsekwańskiej. Obawiamy się, ażeby nawet papa — Offenbach w kąt nie poszedł. A przyjaciel to stary i nie mało chwil życia nam uprzyjemnił.

W każdym razie czcigodny nestor wesołej muzy nie bardzoby się zmartwił, gdyby jego papiery u nas spadły. Sława tego olbrzyma sięga wszystkich krańców ziemi. Zadźwięczała już kankanowa lira w szczęśliwej krainie hurysek i Machometa. Niezadługo może i dzikie narody zatańczą przy dźwięku radosnej piosenki mistrza. Dziwna zaiste, że jak Andersenowi, za życia jeszcze wdzięczni ziomkowie, a nawet Europa cała, nie wystawią pomnika śpiewakowi: „Życia Paryzkiego.“

Tymczasem genijusz prawdziwy z pod zimnej ziemi oczekuje hołdu uznania. Włosi szykują się do uroczystego obchodu 400-letniej rocznicy urodzin *Michała-Anioła Buonarotti*, który się odbędzie w miesiącu wrześniu. Myśl o tej uroczystości zajmuje cały ogół. Wszyscy gotują się do złożenia hołdu jednemu z olbrzymów sztuki ojczystej. Każdy naród umie czcić genijuszów swoich.

I nasz zaścianek żywi serdeczne uczucia wdzięczności względem szlachetnych swoich dobroczyńców. Jeszcze jedno ostatnie słówko a propos p. *Gasnera*. O niegodni obywatele grodu naszego, znajcie hojność wielkich mężów Germanii. Oto czcigodny ten dobroczyńca na pożegnanie pozwala wam, jako *bezpłatny dodatek*, wprowadzić z sobą do muzeum, jaką nadobną towarzyszkę, któraby wam uprzyjemniała uroczą wędrówkę w krainie cudów. Ciekawi jednakże jesteśmy, czy w obec tego uroczego pochodu par, spadnie tajemnicza portijera, zakrywająca bardziej jeszcze tajemnicze rzeczy. Kiedy się bawić to już dobrze! Ha!—może szanowny dyrektor muzeum pragnie uczynić swój zakład bardziej *popularnym*, albo może chce zabezpieczyć oblicze gości od zbytniej swej porywczości względami należnej dla dam galanteryi. W każdym razie schylamy czoło, i oby głos uwielbienia naszego doszedł aż do wielkiej krainy wielkiego męża!

wielce się zbliżał do cechującego tę część skieletu ludów Nowej Zelandyi. W hrabstwie Calanines, w miejscowości zwanej *Obozowiskiem Aniołów*, w głębokości przeszło 150 stóp, znaleziono ułamki czaszki, niewątpliwie sięgające epoki plocenicznej, a Edward Charlesworth w 1872 r. w warstwach wapienia około Suffolk, znalazł zęby zwierza rekinowatego Carchorodon podziurawione jakby umyślnie ostrem narzędziem krzemiennem. — Odkrycie to dowodzi, że już w epoce miocenicznej istniał człowiek, jakkolwiek innych śladów jego nie napotkano w tej miejscowości. Eugenijusz Bertrand w 1868 roku, wykrył w kopalni kamieni Chichy, czaszkę ludzką, kość goleniową i udową, obok których leżały szczątki mamuta. Według opinii Quatrefages'a, okazy te pochodzą z diluwijalnej epoki—czaszka należąca do kobiety w wielu częściach zbliżała się do cechującej prymaty.

Najsłynniejszym wszakże okazem jest czaszka znaleziona w Neanderthal, w prowincyi Nadreńskiej, między Düseldorf i Eberfield, w pobliżu wsi Hochdal. Otóż w miesiącu Sierpniu 1856 roku, w grocie wciśniętej w głęboki parów, doktór Elberfeld, znalazł całe sklepienie czaszki ludzkiej, kość udową, ramieniową i udową, obojczyk, połowę miednicy ułamek prawej łopatki, i szczątki żeber. Był to więc prawie cały skielet człowieka uszkodzony przy wydobywaniu go przez robotników.

W 1865 r. Elberfeld opisał szczegółowo te zwłoki człowieka, z epoki mamuta, w dziele *Człowiek kopalny z Neanderthal* (Der fossile Mensch aus dem Neanderthal.) Czaszka ta jest tem cenniejszym okazem że okazuje najwidoczniej rozwój jakiego dosięgnął człowiek w swym ustroju, od tej wielce starożytnej epoki.

Wykopalisko to, było powodem gorącej polemiki między przyrodnikami. Jedni poczytywali ten okaz za typ rasowej ludności pierwotnej, i ze względu na jego budowę znajdowali widome świadectwo przekształceń jakim w ciągu wieków ulegał ród ludzki. Drudzy upatrywali w nim zboczenie patologiczne, zmniejszając tem samem doniosłość odkrycia. Meyer, Wagner, Blache, Davis i Wirchow podzielali pogląd tych ostatnich. W rzeczy samej czoło wązkie i w tył cofnięte, wielce wydatne łuki brwiowe, inne części skieletu niepospolitej grubości, wszystko to odbiegało od postaci cechującej dzisiejszego człowieka aluwijalnego. Profesor jednak Schaaffhausen, opierając się na anatomii wykazał że kości skieletu były prawidłowo rozwinięte, że wyrobienie czoła nie pochodziło ze sztucznego nań nacisku, praktykowanego u ludów barbarzyńskich. Schaaffhausen w rozbiorze swym powoływał się nadto na ten fakt znaczący, że *u głów płaskich* Kolumbii, kość czołowa i ciemieniowa w skutek naciskania, *są zawsze niesymetryczne*, czego nie można było, zaznaczyć w czaszcze Neanderthalskiej. W tej mierze popierali jego pogląd znakomici inni przyrodnicy: Hume, Morton, Broca, Hamy, Vogt i Huxley. Czaszka Neanderthalska zbadana została tak szczegółowo i starannie, że wątpliwości o tym typie rasowym ustąpić muszą. Zresztą pokrewną jej jest szczęka znaleziona w 1866 roku przez Duponta, w jaskini zwanej *Jamą Naulette*, której ustrój widocznie okazuje przechodzenie rozwojowe, zbliżone do typu iście ludzkiego.

Do nie mniej ważnych odkryć należą dokonane w 1852 roku przez Larteta w grocie Aurcignac. Paleontolog ten znalazł w niej ułamki kości ludzkiej i mnóstwo narzędzi krzemiennych, jak topory, noże iglice, skrobaczki reprezentujące owoczesny stan przemysłu człowieka. Na nieszczęście Lartet opóźnił się z przybyciem w te miejsca, a mer Amiel znalezione w tejże jaskini zwłoki ludzkie, w liczbie siedemnaście skieletów, kazał pogrzebać na cmentarzu, i wszelkie ślady tej chrześcijańskiej posługi, w tym razie przecież niewczesnej, jak najstaranniej zatarł.

W grocie Cro-Magnon, znaleziono szczątki skieletów do pięciu osobników należące, przejawiające budowę atletyczną. Kości ich goleniowe i łokciowe, przypominały ustrojem właściwe prymatom, natomiast udowe nie różniły się niczem od typu normalnego ludzkiego.

W wieku rena do którego przechodzimy, człowiek charakteryzuje znaczącym postępem, rysy jego oblicza nie wyrażają już tej dzikości, której ślady przedstawiają nam mieszkańcy Australii.

Zimno okresu lodowego przez jaki przechodziła, ochłodziło jego krew gorącą, powiększyło jego potrzeby i odwiodło od życia koczującego.

Potrzeba życia towarzyskiego, jest pierwszym zawiązkiem społeczeństw—tworzy ona węgielny kamień cywilizacyi tegoczesnej. Pomimo to epoka ta od nas jest wielce odległą. Do niej odnosimy wykopaliska wykryte w Schussenried, Furfooz, w jaskiniach Eyzies i Madelaine.

W grocie Eyzies znaleziono noże krzemienne, skrobaczki, strzały trójkątne i spłaszczone, tudzież kamyki z jednej strony głęboko wydrążone, które prawdopodobnie służyły do rozniecania ognia, za pomocą szybkiego wiercenia suchym patykiem drzewnym w ich wydrążeniu, jak to dziś czynią jeszcze dzikie pokolenia Ameryki południowej. Narzędzia z kości w tejże grocie znalezione, składały się z szydeł, gwizdawek, harpunów i iglic. Otwory w tych ostatnich były tak regularne i wązkie, że zdawało się niepodobieństwem, aby je narzędzie krzemienne mogło wyrobić. Lartet wszakże przekonywał o tem niedowiarków doświadczeniem, wiercąc w kości podobne otwory, narzędziami krzemiennemi z tejże groty dobytemi. Rzeźby na kamieniu należą bezwątpienia do najciekawszych okazów.

W dwóch grotach Massat znaleziono bardzo udatne rysunki na łupku i rogu rena, wyobrażające niedźwiedzia. Z kopalni Schussenried wydybyto przeszło sześćset naczyń kamiennych, tudzież buławę misternie wykształtowaną z rogu jeleniego. W grocie Madelaine, znaleziono rysunki konia, rena, bawołu, lisa, żubra, dzika, a nawet człowieka, przedstawionego w postaci całkiem nagiej, z krótkim kijem w ręku. Najciekawszym wszakże okazem jest wizerunek mamuta, wyrznięty na olbrzymim zębie tegoż zwierza, znaleziony w 1864 roku przez Larteta w jaskiniach Dordońskich. W Laugierie—Busse, geolog Vibraye, znalazł małą statuetkę z epoki rena, przedstawiającą kobietę chudą, bez rąk z uszkodzoną głową jakąś wyuzdaną Wenerę. Artysta przedhistoryczny uzmysłowił ją, uwydatniając pewne części ustroju w okolicy kości kulszowej, dziwnemi guzami. W tejże jaskini znaleziono rysunek człowieka uzbrojonego, ścigającego żubra z groźnemi rogami. W wizerunku tym myśliwiec nagi, obdarzony jest brodą majestatyczną, i włosami w pęk zgarniętemi ku przodowi czoła.

W 1872 roku p. Massenat w tejże miejscowości, znalazł prawie całkowity skielet ludzki. Noga przy miednicy była zgruchotaną równie jak słup pacierzowy, a to w skutek zawalenia się skały, którą został przygnieciony ów człowiek, właściciel tego skieletu. Około tych kości leżały szczątki muszli ślimaka zwanego porcelanówką.

W tymże czasie w jaskini Mentony, La Riviere znalazł skielet człowieka, prawdopodobnie w czasie snu zamordowanego, tak przynajmniej wnosić wypada z badań na miejscu wyprowadzonych. Człowiek ten miał żebra lędźwiowe i klatkę piersiową zgruchotane — nogi jego były w pół zgięte, ręce rozkrzyżowane. Kości czaszki przechowały się w całości — w szczęce nie brakowało ani jednego zęba. Kość potylicowa (occiput) była w głębioną, szczęka dolna wielce rozwiniętą. Kościany sztylet tkwił jeszcze w czaszcze—około trupa rozrzucone były zęby hyjeny kopalnej. Po epoce rena, następuje wiek kamienia gładzonego, tak zwany od nierównie kształtniejszych i polerowanych wyrobów krzemiennych ludności pierwotnej.

Kamień gładzony znajdywany w rozmaitych miejscowościach, poczytywany był przecież przez bardzo długi czas za rodzaj amuletu który dziś jeszcze pozostaje w poszanowaniu u chińczyków. Germanowie nosili go w kaskach w tymże charakterze.—Grecy czcili w tajemniczych obrządkach kapłanów Cybelli — Rzymianie używali w uroczystościach zwanych *feciales*.—Hebrowie przy obrządku obrzezania. — Egipcyjanie nazywali go kamieniem Etyjopskim, i wprowadzili w użycie przy balsamowaniu zwłok świętych.

Cześć kamienia gładzonego łatwo jest wyjaśnić. Był on dla ludów spuścizną po ojcach, pamiątką przypominającą ich przeszłość. Ta jednak z czasem całkiem się zatarła, a pozostał kult który dał życie wielu przesądom. Zapomniano o naturalnem znaczeniu kamieni gładzonych i przypisywano im pochodzenie niebieskie. I tak przedstawiały one kamienie które Saturn pożerał zamiast dzieci, to znowu Jowisz ciskając gromy miał się niemi posługiwać. W ten sposób owe kamienie zwane *strzałkami piorunowemi* lub *fulgurytami* stały się z czasem amuletami z pomocą których wygrywano bitwy, zabezpieczano się od piorunów na ziemi, a od rozbić na morzu, uzdrawiano chorych i t. p. W końcu zaliczono je do rzędu aerolitów, czyli tak zwanych gwiazd spadających, które w wielkiej ilości z przestrzeni niebieskich spadają na powierzchnię ziemi. Według biblii Tubulkain syn Kaina, był wynalazcą metalów. w księdze tej pominiętym jest zatem całkiem wzgląd na czas, którego długich upływów potrzebują wynalazki. Zresztą podobne pojęcia licowały ze

stanem wiedzy ówczesnej. Badacze duszy jak Tomasz Hobbes (1588—1679) Grotius (1583—1646), Pufendorf (1632—1694), mogli tylko korzystając z wyjątkowej swobody, opisywać człowieka pierwotnego w stanie natury. Cyra, de Bergerac udawać musiał obłąkanego no inaczej bowiem nie mógłby bezkarnie wydać swej podróży na księżyc i słońce. Peyrere po ogłoszeniu swego traktatu pod tytułem: *„Systema theologicum ex preadamitarum hypothesi“* w 1655 doznał okrutnego prześladowania. Bayle (1647—1706 r.) ukryć się musiał pod pseudonimem, i przedać zmyśloną podróż do Australii, gdy mu przyszło mówić o przyszłości człowieka sięgającej dwunastu tysięcy lat. Vico (1668—1744) nie śmie wypowiedzieć się otwarcie, w kwestyi starożytności rodu ludzkiego, i poprzestaje na opisaniu ludzi *„błądzących po lasach ziemi.“* Najbliższy prawdy Mercati, żyjący w XVI wieku powiada: „czas oddzielający Adama od Tubalkaina, był tak długim, że ludzie nieznając jeszcze metalów, fabrykowali wszystko za pomocą kamieni zaostrzonych. Z pomocą tej zręcznej hypotezy, mógł on podać nieokreślone pojęcie o wieku kamiennym. Jussieu w 1723 roku wnosi z obecności fulgurytów, że nasz świat zamieszkiwały niegdyś ludzie dzicy. W obec jednak przesądów panujących, wskazówki te nie miały żadnego znaczenia. Kości kopalnych zwierząt odnoszono uparcie do epoki przedpotopowej, a katastrofa potopu służyła za proces który wytworzył warstwy ziemne. Po odkryciu szczątków mastodontów i mamutów nie wiedziano zrazu co o tem sądzić stąd powstały później baśnie o wielkoludach przedpotopowych. Skamieniałą salamandrę olbrzymią poczytał Scheuchzer za skielet człowieka będącego świadkiem potopu.

Chcąc rozpatrywać kwestyję starożytności człowieka, należało pierwej poznać warstwy ziemne, ich wiek geologiczny i szczątki organiczne w nich napotykane, a wtedy dopiero mogły być wyjaśnione stopniowe rozwoje zwierząt i roślin. Potrzeba było wreszcie obznajmić się z chemiją, fizyką, astronomiją, anatomiją porównawczą, mineralogiją, jako naukami pomocniczemi, które przecież rozwinęły się dopiero na początku bieżącego stulecia. Oto są powody, dla których postęp naukowy na każdym kroku był krępowanym, Dla powzięcia dokładniejszego wyobrażenia o epoce kamienia gładzonego, należy nam poznać kijoekken—moeddingsy duńskie (stosy szczątków kuchennych), torfowiska i jeziora nawodne. Badania tu poczynione dowodzą, że ludność z epoki kamienia gładzonego, nie pogardzała ciałem istot jej podobnych. Przekonywają o tem kości człowieka systematycznie porąbane, jakie znajdujemy w wielu jaskiniach przechowujących nam ślady tych uczt barbarzyńskich. Taką jest przynajmniej opinija wielu poprzedników, jak Garrigon, Spring'a, Dupont'a, Schaaffhausen'a, Lubbocka, Broca, Vogta i t. p. *d. c. n.*

Korespondencyje Opiekuna Domowego.

Kraków 6 kwietnia.

Zaledwo od trzech dni mamy czas nieco znośniejszy. Przeżyliśmy ciężką zimę, jakiej najstarsi nawet niepamiętają, a dała się ona we znaki biednym ludziom niezmiernie! Lękamy się znów obecnie wezbrania Wisły; która chociaż dotychczas zachowuje się dość przyzwoicie, niewiadomo jednak co pocznie, gdy śniegi górskie topnieć zaczną i obficie ją zasilą. A zmienne czasy oj zmienne. Niedalej jak przed kilku dniami mieliśmy zimę i na ulicach śniegu po kolana.

Dziś znowu i wczoraj pół Krakowa na Plantach i na Błoniach. Już prawie sucho, a wpołudnie upał był jak w lipcu.

Wędrowne to też ptaki, które co roku od wiosny aż do późnej jesieni budzą nas z uśpienia, nadając miastu odrębną ożywioną fizio-gnomiję, a kieszenie przemysłowców zasilając porządnie, przelatywać zaczynają. Najpierwszym tegorocznym wędrowcem wiosennym był znakomity Dr. Rudolf Virchow. Skorzystał z kilku dni wolnych w sejmie pruskim i przybył do Krakowa na jeden dzień, jedynie dla obejrzenia zabytków tutejszych pierwotnych. Podobno i właśnie teraz, opracowuje on jakieś dzieło, w którem nasze zabytki zajmą także nieposlednie miejsce. Zwiedził gabinet archeologiczny uniwersytetu Jagiellońskiego, muzeum Akademii Umiejętności, muzeum Przemysłowo-techniczne D-ra. Baranieckiego, zakład kranijologiczny D-ra. Kopernickiego, nadto Wystawę sztuk pięknych i Wawel. Niezmordowany pracownik od samego rana do 9 wieczór nie spoczywał ani na chwilę, nie jadł nawet obiadu—a jak wiemy z oświadczeń jego samego, znalazł w Krakowie daleko więcej niż się spodziewał. Po za obrębem przedmiotów jego wyłączną specyjalność stanowiących w zadziwienie go też wprawiło niezmierne, muzeum D-ra. Baranieckiego gdzie już dziś przeszło 52,000 najrozmaitszych znajduje się okazów. Dr. Virchow oświadczył, że Krakowskie muzeum pod względem starannego doboru i wzorowego uporządkowania, oraz bogactwa przedmiotów, wyrównywa europejskim zakładom tego rodzaju, a niektóre o wiele przewyższa.

Mówiąc o D-rze. Virchowie jako o zbieraczu rzeczy pierwotnych, mówiąc o muzeum D-ra. Baranieckiego, musimy wspomnieć że właśnie w zeszłym roku, otworzono w muzeum onem szereg odczytów, poświęconych czasom pierwotnym, zaprosiwszy ku temu członka Akademii umiejętności, i przewodniczącego w sekcyi wykopalisk p. *A. H. Kirkora.* W Krakowie istnieje wprawdzie katedra archeologii i sztuk pięknych przy Uniwersytecie Jagiellońskim, świetnie zajmowana przez znanego starożytnika prof. dr. *Łepkowskiego*, gdy prelekcyje jego jednak nie są dla ogółu przystępne przeto publiczne odczyty dały możność poznania czasów pierwotnych szerszemu kołu słuchaczów, co też tem pożądańsze, że nie mamy w piśmiennictwie naszem ani jednego dzieła podręcznego, któreby specyjalnie o tej nauce traktowało.

P. *Kirkorowi* sądzono widocznie zaznajamiać publiczność tutejszą z przedmiotami o których tu pierwej, publicznie nigdy nie słyszano. Tak np. w r. 1872, miał on odczyty o literaturach słowiańskich, z których powstał spory tom drukiem ogłoszony. Krytyka jednomyślnie uznała, że pierwsze to dzieło w języku polskim, dające poznać gruntownie piśmiennictwo pobratymczych szczepów. Następnie, w r. 1873 zaznajamiał nas z odrębnemi szczepami słowiańskiemi, pod względem historyeznym i etnologicznym. Nakoniec, w ostatnim roku 1874 miał p. Kirkor *dziesięć* odczytów „*O czasach pierwotnych.*“

Pierwsze dwa odczyty p. *Kirkor* poświęcił wiadomościom wstępnym; mówił o zadaniu nauki, o jej rozwoju, o powolnem nagromadzaniu faktów, które posłużyły do utworzenia pewnej teoryi; i takim sposobem zaznajomił słuchaczów z historyją nauki, od samego jej zawiązku.

Podniósł nader ciekawe kwestyje: *Jak? i kiedy? powstał rodzaj ludzki?* a to w ścisłem zastosowaniu do stanowiska obecnych wykryć geologicznych i palentologicznych; odmalował dokładnie owe straszliwe przewroty ziemne, które tylekroć zmieniały postać naszego planety; wędrówki olbrzymich zwierząt; dawność istnienia świata na podstawie stopniowego kształtowania się pokładów ziemi. W końcu okazał widok przeobrażonej ziemi po zejściu ostatniego potopu, i utworzeniu się obecnej epoki geologicznej.

Dalsze odczyty, prelegent podzielił na ustalone już w nauce epoki z ich podziałami, a mianowicie: na *Epokę kamienną*, którą dzieli na trzy okresy: *mamuta* i *jaskiniowego niedźwiedzia*, czyli okres wygasłych zwierząt; okres *rena*, albo koczowanie zwierząt; i okres kamienia szlifowanego albo społecznych zwierząt. Następnie, na *Epokę metalów*, którą znów dzieli na dwa okresy: *bronzowy* i *żelazny.*

Każdemu z powyższych okresów, poświęcił p. *Kirkor* osobny odczyt, wykazując wszystkie ważniejsze odkrycia dokonane w tym okresie w całej Europie, oraz znakomitsze w innych częściach świata. Każdemu też odczytowi towarzyszyła odpowiednia wystawa przedmiotów, w danym okresie znajdowanych.

Wystawy te zaznajomiły stopniowo publiczność z najstarożytniejszemi wyrobami z kamienia, krzemienia i kości; następnie, z nader bogatym działem ceramicznym (nie wyłączając okazu i z owych sławnych urn z okolic Gdańska z twarzami ludzkiemi, bronzami ozdobnych) dalej, z wyrobami z bronzu, miedzi bursztynu, szkła i t. d. i w końcu z wyrobami żelaznemi. Niezależnie od powyższych przedmiotów stanowiących że tak powiem, ilustracyją owych wzorowych odczytów p. *A. H. Kirkora*, okazywał on publiczności odpowiednie rysunki, już to z gabinetu archeologicznego, już z własnych dość zamożnych zbiorów szczególnie zabytków Litewskich.

Do najbardziej wyczerpujących odczytów policzyć można ten w którym prelegent rozwinął teoryją mogił (zaczynając od jaskiniowych) następnie, dolmenów, tumulusów, żalników i w końcu kurhanów, podając krótkie szczegóły o kościanych studniach w Ameryce, o mumijach egipskich i t. d.

Tak idąc stopniowo od pra-pra-człowieka, od człowieka niemowy, niewiele różniącego się od zwierząt; śledząc za powolnym rozwojem władz jego umysłowych; wykazawszy następstwo odkryć znakomitszych, przez człowie-

ka pierwotnego dokonanych, sposób życia, zwyczaje, siedliska (od jaskiń, nawodnych mieszkań, do grodzisk i mieszkań na lądzie) prelegent doprowadził swoje odczyty do chwili, kiedy czasy pierwotne ustają, a światło historyczne przyświecać zaczyna dziejom człowieka. Zakończył zaś obszernem sprawozdaniem o tworzeniu się ras ludzkich od najdawniejszych czasów, podług teoryi znanego etnologa profesora Fryderyka Müllera. I ten odczyt miał swojego rodzaju wystawę: albowiem dr. *Baraniecki* polecił wykonanie ośmiołokciowej tablicy, ułożonej podług Müllera przez p. *Kirkora*, na której były oznaczone wyraźnie wszystkie rasy, oraz ich genealogiczne pochodzenie, z oznaczeniem tych które już wygasły, lub dogorywają.

Życzyć by należało żeby odczyty *A. H. Kirkora* zostały ogłoszone drukiem bo praca to sumienna i doniosłego nadzwyczaj znaczenia. Potrzeba jednak aby na to wynaleść uczciwego nakładcę.

Groby królewskie jako nowo restaurowane i niedawno otwarte dla publiczności, ściągają znaczną liczbę odwiedzających, przeważnie z przejezdnych. Restauracyja ta dla wielu była prawdziwą niespodzianką —chociaż od czasu przeniesienia zwłok króla Kazimierza Wielkiego istniał projekt profesora Łepkowskiego aby na ten cel użyć sumy pozostałe ze składek na wspomniany pogrzeb zebranych. Sumy te wynosiły jednak tylko 6000 reńskich więc trudno było dosyć podołać urzeczywistnieniu projektu. Po latach kilku mówić też o tem zupełnie zaprzestano. Aż na raz niespodzianie rozeszła się wieść o świetnem ukończeniu restauracyi. I rzeczywiście, to czego dokonano godne jest uwielbienia i podziwu. Przekucie olbrzymich skał, stanowiących podnóże katedry Wawelskiej dało możność połączenia czterech sklepów grobowych, w których dziś wygodnie poustawiano sarkofagi z grobami królów i członków rodzin panujących. Największą zasługą w dokonaniu tej olbrzymiej pracy położył profesor Łepkowski który głównie i robotami kierował i środki do ich przeprowadzenia wynajdywał. Dopomagali mu gorliwie Dr. T. Żebrowski jako technik, kierujący pracami pod względem wykonania głównego planu, oraz znakomity Jan Matejko, na każde wezwanie stawający w sklepach grobowych dla porady i wskazówek pod względem artystycznym.

O sprawach bieżących w następnym napiszę Wam liście.

Berlicz Sas.

MŁODOŚĆ ATEŃCZYKA.

PRZEKŁAD

B. B.

(ciąg dalszy)

Zdarzało się, iż między ojcem a matką powstawał spór o to, jakie dać dziecku imię. W jednej z komedyi Arystofanesa „Chmury“ nieokrzesany wieśniak, który pojął za żonę, kobietę znakomitego rodu opowiada, że kiedy urodził się im syn, posprzeczali się z sobą. „Ona ciągle dodawała do jego imienia wyraz koń (konie w Grecyi, a zwłaszcza w Attyce były rzadkością i tylko ludzie bogaci i znakomici mogli je utrzymywać): Krasokoń lub Miłokoń, a ja chciałem mu dać imię dziada Oszczędny. Nakoniec zgodziliśmy się na jedno i daliśmy mu imię Oszczędnokoń.

Podczas gdy Rzymianie nosili przynajmniej trzy imiona, Grecy przeciwnie tylko jedno. Wrazie jednak potrzeby wyróżnienia się z pomiędzy innych osób noszących tożsamo imię, dodawali imię ojca. Nadto dowcipni i żartobliwi Ateńczycy lubili dawać różne śmieszne przezwiska jak na przykład: mały nazywał się kropelką, tłusty — zupką i t. p. Poeta przytoczony już przez nas Arystofanes w komedyi „Ptaki“ przytacza blisko dziesięciu współczesnych mu Ateńczyków którym dano takie nazwiska jak kruk, skowronek i t. p. Tragik Teognides żyjący w tymże samym czasie za chłód, jakim tchnęły wszystkie jego tragedyje przezwany został Śniegiem, a jeden z mówców, który na zebraniu ludu proponował posługiwanie się jedynie miedzianemi pieniędzmi zyskał sobie przydomek Grosz. Najbardziej zjadliwe miana dostawały się heterom, nawet sławniejszym. Wiemy o jednej iż nazywali ją świnią, inną kozą, trzecią siekierą i t. d.

Po tem zboczeniu o imionach i przydomkach Greków zwracamy się znowu do nowonarodzonego dziecięcia. W Atenach karmiła je sama matka lub mamka.

Karmienia podejmowały się nietylko niewolnice ale i ubogie szlachcianki. Osobliwej sławy używały w Grecyi mamki spartańskie— dla Alcybjadesa mamkę przywieźli ze Sparty. Karmiono dzieci przy piersi i zwyczajnemi pokarmami. Czy Grecy znali takie, jak nasze kołyski, trudno orzec stanowczo. Wprawdzie Plutarch wspomina o ruchomej pościołce dla dzieci, ale żył on już w czasach po Chrystusie, to zaś, o czem wspominają inni pisarze jest właściwie nie kołyską lecz korytem, niecką. Matki i niańki chcąc uśpić dziecię bujały je na ręku tulając. Pieśni nad kołyską dziecięcia niewątpliwie było bardzo dużo ale nie doszły one do nas. U Teokryta jednakże spotykamy wyraźne naśladownictwo takich pieśni. Alkmena matka bliźniąt tak śpiewa u niego: Śpijcie dzieciątka moje, snem słodkim i lekkim; śpijcie duszyczki moje, dwaj braciszkowie, dziateczki silne, zdrowiutkie, leżcie spokojnie doczekajcie jutrzenki.

Jak chłopcy, tak i dziewczęta do szóstego roku życia zostawały pod nadzorem matki. W wieku tym dzieci wyłącznie zajęte były zabawkami. Stąd też na szyję wieszano im talizmany, które prawdopodobnie długo nie były zdejmowane, gdy po nich poznawano dzieci, które w jakikolwiek sposób, z woli lub bez woli rodziców zaginęły. Dla tego też sama nazwa takich grzechotek i innych zabawek, które wieszano dzieciom na szyi, miała zawsze związek z pojęciem poznawania czegoś za pomocą drugiej rzeczy. Oprócz tego dawano dzieciom zabawki, podobne do talerzyków, których wynalazek przypisują jednemu z filozofów szkoły pitagorejskiej, żyjącemu około 400 roku przed Chrystusem. Z rysunków które przechowały się aż do naszych czasów i z świadectw pisarzy greckich możemy wnosić że Grecy znali i takie zabawki, które miały kształt mebli lub sprzętów domowych. W Chmurach Arystofanesa jedna z osób występujących w komedyi opowiada jak za obola (moneta wartująca 15 groszy). kupiła wózek synowi. Taż sama osobistość przedstawiając syna swego Sokratesowi, do którego zaprowadziła go na naukę, opowiada sławnemu mędrcowi, o zdolnościach swego dziecka. Kiedy był jeszcze takim ledwie chłopczykiem, (tu pokazuje ręką) już lepił domki z gliny, strugał okręty z drzewa, wyrabiał skórzane wózki, ze skóry niebieskiego koloru robił żaby — a wszystko to bardzo ładnie. Lucyjan pisarz, żyjący w drugim wieku po Chrystusie opowiada o sobie samym, że w dzieciństwie ile razy zostawał w domu, tyle razy zawsze lepił z wosku krowy, konie i ludzi. Przedawano także zabawki malowane, po większej części gliniane. Znane także były obręcze, bączki i książki.

Mnóstwo było zabaw czyli gier dziecinnych, między niemi zaś niektóre zadziwiają swojem podobieństwem do naszych gier dzisiejszych. Znaną była i ślepa babka. Gra ta odbywała się sposobem następującym: jednemu z chłopców zawiązywali oczy, on zaś biegał wkoło, uganiając się za innymi chłopcami i wołał: gonię muchę miedzianą! gonię muchę miedzianą! Inni chłopcy uciekali od niego, bili go rzemykami ze skóry mówiąc: gonisz ale nie dogonisz, gonisz ale nie złapiesz! Od wyrazów goniącego gra ta nazywała się muchą miedzianą — dla czego jednak tak ją nazywali niewiadomo. Przytoczę wreszcie zasługujący na uwagę przykład miłości ku dzieciom i zabawom dziecinnym, tym dziwniejszy, że odnosi się on do Sparty w objawach życia swego w ogóle surowej i szorstkiej. Sławny król spartański Agezilausz w domu jeździł z dziećmi na kiju, i gdy zobaczył to jeden z jego przyjaciół, król prosił go aby nikomu o tym nie wspominał, dopóki sam nie zostanie ojcem. Jakkolwiek z tego oderwanego faktu nie można wyprowadzać ogólnych wniosków, to wszakże nie ulega wątpliwości, że nietylko mężczyzni ale i kobiety starały się w obec dzieci zachować jak najprzyzwoiciej.

Dzieci, które coś zawiniły podlegały i karze cielesnej; zwykle w tym razie za narzędzie kary służył trzewik. Sam Platon radzi posługiwać się karą cielesną. Aby powstrzymać dziecię od zbytków, lub zmusić je do posłuszeństwa straszyli je różnemi strachami, widmami, upiorami i t. p.

W jednej z Teokrytowych sielanek matka wybierając się na procesyją w święto bożka Adonisa tak skłania małego swego synka do pozostania w domu „nie wezmę cię, tam upiór konia ugryzie. Płacz sobie, ile chcesz, a ja nie pozwolę na to, abyś miał zostać kaleką.

Niańki i mamki tak jak i u nas, umiały mnóstwo bajek i anegdot: bajki nianiek, bajki starych kobiet — weszły w przysłowie, często spotykane w utworach pisarzy starożytnych. Baśnie te miały silny wpływ na rozwój pojęć moralnych i religijnych Greka. Stąd też Platon w swoich utworach „O prawach i O państwie“ mówi dość szczegółowo o tym przedmiocie i radzi surowy rozciągnąć nadzór nad

baśniami nianiek i mamek. W swojem dziele „O państwie“ Arystoteles także chce aby osobni urzędnicy mieli nadzór nad tym przedmiotem. Takie opowieści i baśnie bywały treści religijnej, to jest mitologicznej, albo też w rodzaju bajek Ezopa. Nie tylko dzieci ale i ludzi dojrzałych bawiły te baśnie, tak iż niekiedy najmowano sobie bajarzy.

W szóstym roku życia oddzielano chłopców od dziewcząt i oddawano pod nadzór pedagoga, tak bowiem nazywał się zwierzchnik przeprowadzający dzieci do szkoły i napowrót. Odtąd prawdopodobnie zaczynali oni chodzić do szkoły. Dziewczęta zaś aż do za mąż pójścia pozostawały pod nadzorem matki i prawie nie wychodziły z domu.

Pedagoga, czyli dozorującego dzieci wybierano z pośród niewolników i w czasach, w których żył Plutarch, to jest w pierwszym wieku po Chrystusie, bez szczególnego skrupułu w wyborze. Pisarz ten często uskarża się na niedbalstwo nie do przebaczania rodziców przy wyborze pedagoga. Według niego w wielu razach rodzice lepszych niewolników naznaczali rządcą, pełnomocnikiem i t. d. a. synów powierzali pierwszemu lepszemu pijanicy, obżartuchowi lub komuś równie jak ci do niczego niezdatnemu. W ogóle i pierwej, w czasach Sokratesa w V i IV wieku przed Chrystusem rodzice nie odznaczali się wybrednością w wyborze dozorującego nad dziećmi. Nawet znakomity Alcybijades miał za pedagoga niewolnika, wcale nie lepszego, jak mówi Plutarch, od zwykłych niewolników. Platon wspomina o dwóch pedagogach, których wymowa zdradzała nie greckie pochodzenie. Ci dozorcy wszędzie towarzyszyli dzieciom, — do szkoły i do gimnazyjum czyli szkoły szermierskiej, gdzie odbywały się zapasy i ćwiczenia cielesne, nosili za nimi książki, gitarę i inne niezbędne w szkole przedmioty. Na nich wkładano obowiązek pilnowania, aby dzieci wykonywały wszelkie przepisy i zasady przyzwoitości, których, jak to zaraz zobaczymy przy wychowaniu Greka ściśle przestrzegano. Pod nadzorem pedagoga chłopiec pozostawał do lat 16-u. Do nauki chłopca nie wtrącał się on wcale. Sądząc z rysunków, które do nas doszły widzimy, że pedagodzy odznaczali się szczególnego rodzaju kostyjumem: ubranie ciężkie, płaszcz zwierzchni, mocno zapięty powyżej dolnego ubrania, wysokie buty futrzane i kij zakrzywiony w prawej ręce.

Teraz pomówimy o szkołach.

Państwo prawie wcale nie troszczyło się o nie. Co prawda, były niektóre prawa odnoszące się do wychowania; istniało np. prawo: dzieci należy uczyć czytać, pisać i pływać; później według słów Platona, prawa radziły uczyć dzieci gimnastyki i muzyki. Było jeszcze prawo Solona: rodzice którzy nie wychowywali swych dzieci, nie mają prawa żądać od nich utrzymania na stare lata. Szczególnego wszakże nadzoru nad szkołami państwo nie brało na siebie. Bez względu jednak na to, że zewnętrznych pobudek w Atenach do nauki nie było, wykształcenie nie mniej przeto uważało się za potrzebę niezbędną. U Plutarcha znajduje się opowieść o tem zasługująca na powtórzenie. Podczas napadu Kserksesa na Grecyją, Attyka opustoszała prawie, kto mógł siadał na okręt, a żony, dzieci i starcy przewiezieni zostali w różne bardziej bezpieczne miejsca, między innemi do Trezeny, miasta w Argolidzie, na przeciwległym brzegu zatoki Sareńskiej. Mieszkańcy Trezeny każdemu osadnikowi na mocy uchwały ludowej ofiarowali po 2 obole, dzieciom ich pozwolili rwać owoce we wszystkich ogrodach, nadto płacili pensyją tym nauczycielom, którzy owe dzieci uczyli.

W tym postępku Trezeńczyków należy zwrócić uwagę na rzecz następną — pozwalali oni rwać dzieciom Ateńczyków owoce we wszystkich ogrodach. Jakże czułą jest ich troskliwość o to, aby skrócić nudy dzieciom przebywającym w obcym kraju, i zarazem uczynić zadość ich wrodzonemu łakomstwu. Wiele można byłoby przytoczyć przykładów tego rodzaju naiwnej delikatności Greków: w tym jednak razie, ponieważ szczegółowy opis tej strony charakteru starożytnych Greków zaprowadziłby nas zadaleko, ograniczę się więc na dwóch przykładach tyczących się dzieci. Sławny filozof Anaksagoras, którego uczonym rozmowom tak wiele zawdzięczał Perykles, umierając prosił, aby w dzień jego śmierci uczniowie szkół mogli mieć rekreacyją. W Olimpii było kilka wołów miedzianych — jako dary błagalne różnych miast. Pod jednym z nich pewnego razu bawił się chłopczyk. Podniósłszy nagle głowę do góry, chłopiec ten uderzył się na śmierć. Wówczas mieszkańcy Elidy postanowili wziąść (niby wygnać) wołu z zajmowanego przezeń miejsca, jako *winnego rozlewu krwi*, lecz wyrocznia w Delfach rozkazała im względem miedzianego wołu dopełnić takiego samego oczyszczenia, jakie zwykle miało miejsce względem zabójców mimowolnych.

Co się tyczy nauczycieli, to państwo przestrzegało tylko ich moralności, a nie wtrącało się w to czy byli zdolni, i czy znali swój przedmiot. Czytać, pisać i rachować, jak tego można było spodziewać się, uczyli ludzie biedni i nie szczycili się wielkim szacunkiem. Nierównie niższym było stanowisko tych, którzy byli pomocnikami takich nauczycieli. Takim był ojciec Eschinesa sławnego mówcy, współzawodnika Demostenesa. Demostenes robi zarzut Eschinesowi, że ten wzrastał w straszliwej nędzy, że razem z ojcem musiał w szkole pełnić rozmaite obowiązki jako to: przyrządzać atrament, ścierać kurz z ławek, zamiatać izbę szkolną, słowem położenie jego było stanem niewolnika, a nie człowieka wolnego. Były zresztą i szkoły bardziej przyzwoite: tak Demostenes mówi o sobie w dzieciństwie uczęszczałem do *porządnej* szkoły.

Jaką była płaca podobnego rodzaju nauczycieli, nie wiadomo; należy wszakże przypuszczać, że była bardzo małą.

Skąpi rodzice wcale nie posyłali dzieci do szkoły w tych miesiącach, w których przypadało wiele dni świątecznych; wytrącali z zapłaty nauczycielowi za te dnie, równie jak i za te, w które ich dzieci nie przyszły do szkoły z powodu słabości lub choroby. Stąd można wnioskować, co dostawało się nauczycielom miesięcznie.

Liczba uczniów dokładnie nie jest nam znaną. Wiemy tylko, że pewien siłacz, rodem z wyspy Astypalei nie otrzymawszy na igrzyskach upragnionej nagrody, i w skutek tego popadłszy w obłęd, wstrząsnął słupem podpierającym dach szkoły w Astypalei i w ten sposób zabił sześćdziesięciu chłopców, uczęszczających do tej szkoły. Wiemy jeszcze o jednej anegdocie dość dowcipnej. W pewnej szkole znajdowało się dziesięć posągów, dziewięć posągów muz i jeden Apollina — oprócz tego dwaj uczniowie. Gdy ktokolwiek zwiedzał tę szkołę i zapytał nauczyciela, ilu ma uczniów, ten odpowiadał dwuznacznikiem: razem z bogami dwunastu, lub też: z łaski bogów dwunastu. Jak zrozumiał wyrazy nauczyciela wizytator zwiedzający szkołę, nie wiemy.

Co się tyczy sprzętów szkolnych wiemy tylko, że w szkole były ławki dla uczniów. Zresztą nic nie wiemy w tym względzie.

Nauka w szkołach zaczynała się rankiem dość wcześnie. Zdaje się że do szkoły chodzili dwa razy: rano i po południu. Wakacyje prawdopodobnie bywały, lecz nic stanowczego o nich powiedzieć nie możemy.

Do szkół uczęszczali chłopcy do lat szesnastu. Dla panien szkół nie było i być nie mogło: kobieta zwłaszcza panna, powinna była wychodzić z domu jak można najrzadziej, i tylko w koniecznych wypadkach.

Otóż i wszystko, co można powiedzieć o szkołach ateńskich. Teraz zajmiemy się samą nauką w tych szkołach.

Wychowanie i wykształcenie Greka, miało za jedyny cel: urobić obywatela i człowieka; innych, prywatnych, ubocznych celów nie było. Lecz jak Grecy pojmowali doskonałość ludzką? Na czem ona, według ich pojęcia polegała?

Harmonija, ład i proporcyja we wszystkiem niedozwalająca przewagi ani idei ani materyi,— oto na czem polega istota życia Greków. Dla tego to Grecy nie byli ani materyjalistami, ani idealistami. Oni jednakowo kochali, jednakowo zajmowali się, jednakowo pielęgnowali i duszę i ciało.

To też człowieka doskonałego nazywali oni pięknym i dobrym zarazem, to jest zdrowym na duszy i na ciele i zdolnym do działania praktycznego. Największem dobrem, jakiego Grek pożądał było zdrowie ciała i zdrowie myśli. Zdrowie myśli Grecy pojmowali jako zupełnie harmonijny rozwój duszy człowieka: zdrowie ciała jako ciągłą przytomność i pogodę umysłu, stałą skłonność woli ku dobremu. Zdrowie myśli jest narodową cnotą Greka. Przeciwnie nadmiar jakiejkolwiek siły lub zdolności, chociaż by na korzyść dodatniej strony, uważał się za występek.

d. c. n.

Przegląd literatury dramatycznej.

Wit Stwosz dramat Wincentego Rapackiego.

Z dziejów epoki odrodzenia, zwłaszcza z jej pierwszej połowy, przekonywamy się, jak silnemi i gwałtownemi namiętnościami odznaczali się w prywatnem życiu artyści, twórcy owego renesantu. Nieraz artysta wyszedłszy z domu, gdzie modelował okazałego Jowisza, przyczaił się na ulicy za drzewem, czyhając

na upatrzonego przechodnia, aby nań uderzyć ze sztyletem w dłoni. Pobudkami w podobnych napaściach nie była chęć grabieży lub podłego zysku, ale zemsta, zawiść, albo wreszcie emulacyja. Okiełznać tych namiętności nie było sposobu—wypływały one niejako z gorąco budzącego się ducha czasu i cechowały właśnie ludzi, dających światu nieśmiertelne arcydzieła. Byli oni wyżsi nad cały otaczający ich motłoch, który co najwięcej umiał ślepo wielbić mistrzów, co tych znów w niezwykłą wbijało dumę. Następnie pieszczeni i obdarowywani przez książąt i papieży, pozwalali sobie nieraz więcej od samych władców. Nic więc dziwnego, że ci wybrańcy muz i sztuk pięknych, z natury obdarzeni gorącym temperamentem, mało krępowani przepisami prawa, dozwalali hulaszczo wybuchać swoim namiętnościom. Namiętności te głównie przejawiały się w zazdrości wściekłej i w szalonej zawiści. Andrzej del Castagno morduje Dominica rodem z Wenecyi, nauczywszy się od niego sekretu malowania olejno. Celini grozi sztylem rzeźbiarzowi Prymatice w jego własnym domu za to, że mu zdmuchnął obstalunek na posąg. Tycyjan obawiając się zawistnej napaści, malował często w pancerzu; — sam zaś mało usposabiał nczni przez zazdrość. Baccio Badinelli trawiony zazdrością łamie sobie zęby o dzieło Michała-Anioła.

Widzimy tedy z przykładów dziejów a nieraz i z własnej obserwacyi jak gwałtowną pobudką bywa zazdrość w duszach artystów. Podobnie zawistnym uczuciom przyświecała często wschodząca jutrznia epoki odrodzenia. Wytwarzające się nowe szkoły współzawodniczyły między sobą; same znów one narażały się pleśniejącej rutynie, która nigdy nie znosi nowatorów, choć nieraz w głębi duszy uznaje ich wyższość. Zawiści te rozpierały się często w artystach tak wielmożnie, że w duszach ich tłumiły wszelkie Boskie i człowiecze prawa i strącały je w przepaść najbardziej wyrafinowanych i zbrodniczych czynów.

Jestto właśnie najistotniejszy motyw dramatu, który rozebrać mamy.

Zanim przystąpimy do właściwego rozbioru pracy pana Rapackiego, pozwólcie, że opowiemy w kilkunastu wierszach osnowę dramatu.

Rzeźbiarz polski Wit Stwosz, żyjący właśnie w owej epoce odrodzenia, zamieszkały w Norymberdze, wielce tamże ceniony, wygotował cymboryjum do kościoła św. Wawrzyńca. Król portugalski Emanuel W. podziwia to arcydzieło, któremu się przyglądał we wspaniałym kościele. Rozdrażniony pochwałami króla Steinbauer cechmistrz i snycerz rutynista, wypowiada swoje pełne zawiści mniemanie o dziele Stwosza:

„Wtedy Steinbauer wystąpił z zarzutem:
Twarz mu pobladła, oczy się iskrzyły,
I zaczął prawić gorąco przed nimi,
Że to wbrew formom zakrzywione wieże,
I tym sposobem całe to cymboryjum
Dość zresztą piękne—zeszpecono (str. 9.)

(*d. n.*)

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XLIII.

Kłopoty Elijasza Quackenboss.

Dnieć zaczynało kiedy wjeżdżaliśmy konno do wioski.

Nie czułem już głodu, bo przezorniejsi szeregowcy zabrali ze sobą dobrze zaopatrzone torby i serdecznie ofiarowali mi posiłek, a Wheatlej oddał mi znów do użytku swoją oplataną butelkę.

Uwolniony od wszelkich obaw, uczułem się jednakże ogromnie zmęczonym; to też zaledwiem się rozebrał, zasnąłem.

Kilka godzin spoczynku wzmocniły odrazu moje siły fizyczne i moralne. Obudziłem się zdrów i pełen nadziei.

Ubrałem się nieco staranniej, zjadłem śniadanie a zapaliwszy cygaro poszedłem na taras.

Mój śliczny biały jeniec szedł wyciągając dumnie szyję, jakby rozumiał uwielbienie jakie obudzał.

Przy nim stali szeregowcy, włościanie, przekupnie z placu i wszyscy, przypatrywali się ze zdziwieniem dzikiemu koniowi.

Przepyszny dar, mówiłem sobie, godny chociażby księżniczki.

Miałem zamiar ofiarować go osobiście, to też zabrałem się do uporządkowania mojej toalety; ale po głębszem zastanowieniu się odstąpiłem od tego zamiaru. Różne ku temu znalazły się przyczyny a głównie obawa skompromitowania moją wizytą mieszkańców haciendy.

Uczucia patryjotyzmu wrzały w ludzie co dzień silniej. Przyjęcie podarku od oficera armii najezdniczej mogło stać się niebezpiecznem; sławny rumak nie powinien być ofiarowanym jako dar, ale raczej jako nagroda za klacz, która zginęła z mojej ręki. Nie powinienem przyjmować na siebie roli człowieka, któremu należy się wdzięczność.

Postanowiłem, że mój murzyn zaprowadzi do haciendy przepysznego rumaka stepów.

Już arkan biały zwinięty dopasowany był jak należy, a murzyn oczekiwał tylko rozkazu.

Żołnierze moi bardzo żywo rozprawiali ze sobą, a z pewnych szeptów jakie mnie doszły, domyśliłem się iż wiedzieli o wszystkiem; bałem się więc trochę ich żarcików.

Dałbym niewiem co w tej chwili aby sprawić się bardzo pocichu i myślałem: czyby nie najlepiej z odesłaniem mego podarku zaczekać do zmroku, gdy właśnie w samą porę przytrafiło się coś co mnie wybawiło z kłopotu.

Tem *coś* szczęśliwem był nie kto inny jak pan Elijasz Quakenboss.

Ze wszystkich ludzi oddziału, czworograniasta głowa była zawsze najgorzej odzianą. Nie tylko z przyczyny swojej niezdarności ale i z przyczyny swego zamiłowania do botaniki. Pnąc się za roślinami darł na sobie wszystko, tak iż nieraz świecił łachmanami.

Ostatnia wyprawa nocna była dlań bardzo szczęśliwą.

Jego to strzał powalił jednego z pięciu gerylasów.

Towarzysze śmieli mu się w nos utrzymując że to nie prawda, że się chwali na próżno, ale Quakenboss dowiódł iż ma słuszność bo kulę swojego karabina odszukał w ciele zabitego i tę przedstawił do rozpoznania. Szczególniejszy kaliber jego broni ułatwił to sprawdzenie i wszyscy mu słuszność przyznać byli zmuszeni.

Podług praw wojennych szeregowców, uzbrojenie i w ogóle wszystko co się znalazło przy zabitym nieprzyjacielu, stawało się wyłączną własnością tego kto go powalił. Na mocy więc prawa takiego, Quakenboss swoje łachmany zamienił na wcale przyzwoite ubranie meksykańskie.

Nigdy atoli nie widziano podobno takich długich nóg w grubym aksamicie; nigdy bodaj podobne ręce, nie znajdowały się w rękawach haftowanego kaftana.

Cała wreszcie osoba Quakenbossa ustrojona jak teraz, przedstawiała całość tak śmieszną— że przybycie jego na plac, towarzysze powitali głośnym spazmatycznym śmiechem.

Ale to jeszcze nie wszystko. Pomiędzy innemi przedmiotami Quakenboss zdobył także mustanga po Komanszu, a że jego konisku, dawno jak należała się dymisyja, doskonale mu się trafiło.

Niewiem co go zatrzymywało dotąd gdzieś tam po za wioską, bo dopiero teraz się zjawił ciągnąc za sobą mustanga przybranego w siodło i uzdę swojego dawnego wierzchowca.

Ładne i zgrabne było stworzenie które przyprowadził ze sobą, to też nie jeden pozazdrościł mu takiego bogatego nabytku.

Zaledwie śmiech się uspokoił gdy rozkazano siadać na koń co też i Quakenboss dokonał.

Ale cóż, zaledwie tego dopełnił nieznośny komanczuch zaczął skakać i kręcić się, stawać dębem i wierzgać tak, że nieszczęśliwemu kawalerzyście co minuta groziło niebezpieczeństwo silnego zwalenia się na ziemię. Oddawna jak sombrero zleciało mu z głowy a karabin wypadł z rąk — a co powiedzieć o powiewających fałdach szerokiego płaszcza — o pasie szerokim który wykręcał się na wszystkie strony, o płaszczu podskakującym do góry i opadającym na dół, o machaniu rąk, o włosach rozczochranych, o wystraszonem spojrzeniu, co wszystko razem składało się na pozór nad wszelki wyraz komiczny.

Cała gromada szeregowców trzymała się za boki a po całym placu rozlegały się głośne śmiechy i krzyki.

Ale zadziwiało wszystkich niezmiernie, że Quakenboss pomimo wszystko trzymał się ostro na siodle. Wiedziano że był najgorszym jeźdźcem oddziału, a jednak pomimo wszelkich manewrów trwałych już od kilku minut — nie zleciał zeń dotąd. Szeregowcy nie mogli wyjść z podziwienia.

Nagle jednak cała tajemnica się wyjaśniła; odkryliśmy przyczynę dla której nasz niedołęga tak się długo utrzymywał na siodle.

Jeden z obecnych spojrzawszy przypadkiem pod brzuch koniowi zawołał z całej siły:

— Patrzcie no na Belzebuba! zaplątały mu się ostrogi...

Wszystkie oczy skierowały się w tym kierunku i nowe wybuchy śmiechu rozległy się w tłumie gdy spostrzegli, że to jedynie było przyczyną zręczności Quakenbossa.

Siadając na konia pan Elijasz niedowierzał mu jakoś, ścisnął go więc mocno nogami a że je miał nadzwyczajnie długie, objął konia tak iż pięty pod spodem aż się schowały.

Przy tej operacyi nie pomyślał jednak o swoich nowych ostrogach, których kółka na sześć cali długie drażniły konia i były przyczyną jego nadzwyczajnych skoków. Kółka te splątały się t. j. zahaczyły jedno o drugie i trzymały tym sposobem tak silnie jeźdzca, jak gdyby był przywiązany pasami do siodła. Ale im bardziej zagłębiały się w ciało mustanga, tem silniej dzikie zwierzę wściekłe z bólu, rzucało się w lewo i w prawo chcąc się pozbyć jeźdzca, tak okrutnego na pozór.

Po chwili tych szamotań czworograniasta głowa trafiła przecież na poczciwą duszę, która położyła koniec widowisku, zarzucając swój arkan na szyję biednego rumaka.

ROZDZIAŁ XLIV.

Zakochany na śladzie.

Korzystając z ogólnego zamięszania spowodowanego przygodą Quakenbossa, posłałem murzyna do hacyjendy i oczekiwałem nań obecnie z prawdziwą niespokojnością.

Stojąc na tarasie domu, widziałem mojego posła jak wchodził na pagórek prowadząc za sobą ślicznego bieguna stepów, widziałem wreszcie jak znikł pod dużą bramą don Ramona de Vargas.

Niedługo zobaczyłem znowu, że wychodził bez konia — podarunek więc został przyjęty.

Rachowałem chwile z niecierpliwości, aż ciężkie kroki dały się słyszeć na schodach, a błyszcząca czarna twarz ukazała się przedemną.

Ale żadnego nie przyniósł listu, żadnego polecenia, tylko ustne podziękowanie.

Ścisnęło mi się serce, obiecywałem sobie coś więcej.

Murzyn był bardzo zodowolony z wyprawy, złoty pieniądz połyskiwał mu w czerwonawej dłoni.

— Kto ci to dał — zapytałem.

— Ba—panie kapitanie — to mi dała panna, jakiej twój biedny murzyn, nigdy jeszcze dotąd nie widział.

— Aha! więc Isolina sama wręczyła mu nagrodę.

— Byłbym chętnie roztrzaskał czaszkę temu głupcowi gdyby nie ten królewski datek, który świadczył o zadowoleniu z jakiem podarunek został przyjęty, ale spodziewałem się czegoś innego...

Zamyślony i smutny zacząłem szybki spacer po tarasie.

Dzień był świąteczny.

Odgłosy dzwonów mieszając się z wesołemi okrzykami ludu, dochodziły moich uszu.

Mieszkańcy wioskowi ukazywali się w najbogatszych swoich ubiorach, Indyjanki w swoich jaskrawych jupkach z czerwonemi i granatowemi wstęgami zaplecionemi we włosach. Mieszkańcy chat oddalonych i sąsiednich osad przybywali tłumnie na plac, po którym miała się odbywać procesyja na około kościoła.

Muzyka przysposabiała instrumenta; bengalskie ognie przygotowano na rogach ulic. Ludzie zamaskowani obnosili świętych poobwieszanych najrozmaitszemi świecidłami, bo tak każe obyczaj tutejszy.

Zmęczony krzykami kazałem sobie osiodłać konia, postanowiłem bowiem przejechać się trochę aby z dala od tego zgiełku poszukać wytchnienia, którego mój umysł potrzebował bardzo.

Podczas kiedy czekałem aż Moro będzie gotów, oczy moje spotkały się z czemś, co przyśpieszyło bicie mojego serca.

W chwilę oto o której mówię zobaczyłem kogoś wyjeżdżającego z głównej bramy hacyjendy dona Ramona de Vargas.

Maść śnieżnej białości konia a szkarłatny płaszcz jeźdzca, nie mogły nie uderzyć mnie gwałtownie.

Ten koń to biały biegun, a osoba którą on niósł na sobie — to koniecznie Isolina de Vargas.

Zjeżdżała z pochyłości prowadzącej ku rzece a po chwili gęste liście krzewów zasłoniły mi widok tego uroczego zjawiska.

Młoda dziewica zatrzymała się chwilkę na brzegu lasu, zdawało mi się że rzucała pełne ciekawości spojrzenia w stronę wioski, chociaż droga którą wybrała prowadziła ją w kierunku zupełnie przeciwnym.

Z niecierpliwością zażądałem konia, bo postanowiłem puścić się w ślad za amazonką.

Jak skoro znalazłem się na siodle, przejechałem plac wioskowy i dostałem się na otwarte pole — puściłem Mora galopem.

Droga którą obrałem ciągnęła się wzdłuż rzeki, pomiędzy gęstemi bardzo krzewami. Naraz spotkałem kogoś albo raczej przejechałem obok kogoś.

Spojrzałem i przekonałem się że był to mały chłopiec meksykański, ale że szaro już było a jechałem prędko nie mogłem zobaczyć go dokładnie. Chłopak krzyknął nawet coś za mną, jego słowa jednak zgłuszył tentent pędzącego konia.

Myślałem że to sobie zwyczajna pustota dziecka i nie zwracałem na nią uwagi.

Dopiero kiedy się od niego znalazłem dosyć daleko przyszło mi na myśl, że znałem gdzieś głos który mnie doleciał — przypomniałem sobie małego posłańca hacyjendy którego nie raz widziałem w wiosce a o którym zresztą mówił mi wczoraj Wheatlej.

Czyby powrócić dla rozpytania się malca, ale zostawiłem go kawał po za sobą — to też popędziłem dalej.

Przybyłem wkrótce do stóp pagórka na którem wznosiła się hacyjenda i porzuciwszy gościniec, udałem się drogą tuż przy pochyłości idącą.

Po jakich stu krokach dotarłem do punktu, w którym stojąc na tarasie straciłem był z oczu przedmiot mojej pogoni, i dostrzegłem zaraz wyraźne ślady kopyt końskich, któremi w las dążyłem.

Ale na raz znowu ślad ten straciłem — a tu las stawał się coraz gęściejszy a jazda coraz trudniejsza.

Z jakie dobre pół mili musiałem to przedzierać się przez gęstwinę to objeżdżać do koła jaki ogromny pień, to zjeżdżać na prawo albo na lewo dla niemożności przebicia się przez kupy trzciny lub pnących się roślin.

Nakoniec droga zaczęła się stawać pochyłą poznałem po stąpaniu Mora że wjeżdżamy na pagórek, las też stawał się coraz rzadszym, a gdzie niegdzie za gęstwiną, już ukazywały się polanki.

Gdym się dostał na szczyt pagórka spostrzegłem znowu ślad zupełnie świeży, moja więc amazonka nie musiała być teraz daleko odemnie.

Zdawało mi się że słyszę stąpanie jej konia.

Pędziłem tedy dalej, spodziewając się co chwila że ją ujrzę przed sobą — jakoż niezawiodły mnie nadzieje.

Na szczycie pagórka było miejsce prześliczne, ze wszystkich stron otoczone krzakami krzewów, miejsce jakby umyślnie do samotności i spoczynku przeznaczone. Isolina otóż zatrzymała się tutaj i siedziała milcząca na siodle jakby napawając się śpiewem ptaków brzęczeniem pszczółek i zapachem kwiatów.

Nie wiedziałem co teraz z sobą robić, czy zbliżyć się czy się cofnąć. Jakieś uczucie wstydu mnie opanowało—i może byłbym i dranął po cichu ale właśnie zobaczyłem że piękna amazonka wyjmuje zegarek i patrzy na godzinę. Spostrzegłem także że rzuca niespokojne spojrzenia w stronę łąki, która się rozciągała u stóp pagórka.

Te gesta tak naturalne sprawiły mi dotkliwą boleść, zdawało mi się że rozpalone żelazo przeszywa mi serce.

Nienawistne imię Iżurry przyszło mi na myśl.

Lejce wypadły mi z ręki, serce ścisnęło się tak żem o mało nie spadł na ziemię.

Ale myśl ta dodała mi energii — zapach krwi podrażnił nerwy tygrysa...

Pochwyciłem na nowo uzdę poprawiłem się w strzemionach, zdawało mi się że mi serce rośnie a ręce stają się silniejsze, powróciła słowem energija.

Nienawiść, zazdrość i zemsta dodawały mi siły i pod ich wpływem, uczułem się tak pewnym siebie iż rachowałem na stanowcze zwycięztwo.

W tej chwili byłem zdolny zamordować nienawistnego mi rywala.

Dzikie moje myśli musiały się udzielić i mojemu koniowi bo w tej chwili dumnie łbem potrząsnął i zarżał gniewnie.

Drugie rżenie odpowiedziało mu niebawem w tej samej chwili dał się słyszeć głos:

— Kto jedzie!

Niepodobna było pozostawać dłużej w ukryciu. Poznałem że mnie spostrzeżono, spiąłem Mora i jednym skokiem stanąłem obok Isoliny.

ROZDZIAŁ XLV.

Deklaracyja.

Otóż jesteśmy na przeciwko siebie. Prześliczne oczy rzucają błyskawice w których maluje się zdziwienie. Czuję żem się zarumienił bo mój postępek nie jest bez zarzutu.

Szukałem w myśli jakiego tłomaczenia, ale cóż może wytłomaczyć śmiałość z jaką się zaprezentowałem? Czy to był wypadek?

Z takim rozumkiem jaki posiadała Isolina, łamane sztuki nie na wiele się przydadzą.

— Nie będę nic ukrywał rzekłem do siebie ale wyznam śmiało prawdę.

Zazdrość nie pozwalała mi wątpić o dobrym skutku.

— Panie! — odezwała się Isolina, a gdzie pański przewodnik? Jakżeś pan sam odnalazł to miejsce?..

— Ja Senorito jechałem za śladem twoim.

— Nie spodziewałem sią pana przed...

— Zapewne oczekiwałaś pani na kogo innego?

— Rzeczywiście spodziewałam się zobaczyć pierw Cyprio.

— Cyprio?

— Tak, mego Cyprio.

— Senorito, jeżeli to imię oznaczać ma twego kuzyna lepiejby dlań było aby nie przybył wcale...

— Mój kuzyn!.. Lepiejby było żeby nie przybył... Na Trójcę Przenajświętszą, kapitanie, ja nie rozumiem cię wcale.

I duże czarne oczy spojrzały na mnie pomieszane, zdziwione.

Byłem równie zaniepokojony, ale ponieważ rozpocząłem walkę, postanowiłem ją ciągnąć do końca.

— Więc Senorito de Vargas będę się jaśniej tłomaczył. — Jeżeli Rafael Iżurra pokaże się tutaj, jeden z nas mówię tu o nim i o sobie nie odejdzie stąd żywym. — On śmiał targnąć się na moje życie a ja się poprzysięgłem go zabić, w jakimkolwiek go miejscu i czasie napotkam.

— Dałby Bóg żebyś pan mógł dotrzymać sobie słowa.

— Jakto, pani kuzyn?..

— Mój kuzyn Rafael Iżurra!.. mój śmiertelny wróg i największy nieprzyjaciel naszego domu.

— Doprawdy?... pani nie czekasz tutaj na niego.

— Czekać... na niego?.. Nie, chociaż nie jestem bardzo nieśmiałą, niepozostałabym sama ani na chwilę z Rafaelem Iżurrą.

— Senorito, wytłomacz się, błagam Cię...

— Panie kapitanie, to ty raczej powinienbyś wytłomaczyć się przedemną. — Postanowiłam to spotkanie aby podziękować panu za dar który mi ofiarowałeś — a pan mnie witasz sarkazmem i żółcią.

— Pani postanowiłaś to spotkanie?..— Boże mój! czy ja dobrze słyszałem?..

— Tak, kapitanie. Dla powodów dobrze panu zapewne wiadomych nie śmiałam prosić cię do nas — więc wybrałam tę oto polankę... Jakże to znajdujesz mój Caballero?.

— W twojem towarzystwie Senorito każde miejsce staje się rajem...

— Jeszcze! Oh kapitanie pamiętajże o żółtem dominie, zaniechaj komplimentów proszę cię o to. Toć nie jesteśmy na balu maskowym postępujemy otwarcie...

— Przyjmuję zastrzeżenie z całego serca przybyłem bo po to aby się wyspowiadać pani...

— Wyspowiadać?..

— Tak pani ale pozwól mi naprzód na jedno zapytanie.

— Więc chcesz pan być spowiednikiem?..

d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Sumienny konkurent, studyjum karnawałowe przez Jana Zacharjasiewicza. Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolfa. 1875 r. str. 201 in 12-o cena kop. 90.

Ze stanowiska trzeźwej analizy życia spogląda autor na powszednie jego barwy, rysując je w wiernych a dosadnych obrazach. Nie tworząc typów idealnych, zadawalnia się tem, co w życiu często napotkać można. Widzimy tu ludzi krwią i ciałem, prostych i śmiertelników z przymiotami, wadami i śmiesznotkami swemi. A w tym chaosie zwyczajnych uczuć drży niekiedy prawdziwie serdeczna i podniosła struna, choć na ziemskie nastrojona tony. A wszystko tchnie życiem naturalnem, nie sztucznem. Autor zapatruje się na świat spokojnie. Wobec prawdziwej cnoty pochyla czoło, a słabsze objawy ducha maluje łagodnemi barwami, nie powodując się silną namiętnością. W tym względzie dochodzi nawet niekiedy do zbytniego optymizmu.

Najbardziej idealną jest postać tytułowa. Zaiste, takich sumiennych konkurentów na setki liczyć nie można. Wyobraźcie sobie człowieka szlachetnego, poważnie się na świat zapatrującego, a przytem szczerego i prostodusznego aż do łatwowierności. Fabijan (tak się nazywa ten poczciwiec) spogląda na życie jasnem, choć poważnem okiem, widzi w jego barwach wszystkie świetne promienie ducha swojego. Stąd też nadzwyczaj optymistycznie zapatruje się na ludzi. Snać spokojnie płynął dotąd po fali życia, i przed pogodnym wzrokiem duszy jego nie odkryły się jeszcze brudne jego kałuże; snać w szczęśliwej pielgrzymce nie stracił pierwotnej wiary w dobro i cnotę, bo podłość nigdy dotąd ciemnego nie ukazała mu oblicza. Surowy względem samego siebie, pobłażliwem okiem spogląda na innych, a w wątpliwych postępkach zawsze szlachetniejszej upatruje pobudki. Słowem widzi on wszystko, opromienione jasnem światłem ducha swojego.

Lecz zbytnia powaga i prostoduszność Fabijana czyni go śmiesznym w oczach wesołych cherubinków o nadobnem licu i wątpliwem nieco serduszku. Stając więc na drodze do matrymonijalnych zamiarów, wpada biedak w pułapkę, zręcznie przez jednego z takich aniołków zastawioną. Cherubinkiem tym jest panna Michalina. Osóbka to bardzo ujemna. Fałszywe wychowanie rozwinęło w duszy dziewczyny nizkie instynkta i zagłuszyło szlachetniejsze pragnienia serca.

Nie jest to postać, zaćmiona silnemi a ponuremi barwami występku, lecz lekka i zepsuta zwolenniczka rozkoszy doczesnych. Od dzieciństwa wskazywano jej, jako wyłączny cel życia, szczęście na kobiercu bogactwa i dostatków. To też jedynem pragnieniem Michaliny jest zdobycie tego szczęścia zręczną grą kokieteryi w karty uroczego wdzięku ciała. Radość z wygranej, a smutek z przegranej — oto głębsze uczucia jej serca. W serduszku dziewczyny błyszczy wypisana jedna wielka cyfra, lecz któż ujrzeć ją zdoła! A dyjabełek to wesoły, zręczny, dowcipny, niekiedy szyderczy nawet, a zatem bardzo niebezpieczny. Dla czczej zabawki porywa w szpony swej złośliwości śmiesznego w jej oczach kandydata do hymenu. Zręcznemi słówkami rzucza pierwszą iskrę w dziewicze serce młodziana, i iskra ta silnym wkrótce zagorzała ogniem; czyli mówiąc słowami pięknej intrygantki, biedny konkurent staje się ofiarą, zaprzężoną przez czułą przyjaciołkę do rydwanu uroczej Luni, aby tem przyspożyć jej tryumfu a sobie samej dostarczyć źródła wesołej zabawy. Lecz Lunia inaczej nieco na tę kwestyję się zapatruje. Jest to wprawdzie zwyczajna ziemianka, lecz ubarwiona jasnemi promieniami marzenia. Pragnie szczęścia i miłości, niekiedy nawet dusza jej unosi się w krainę podniosłych ideałów, lecz nie pojmuje ich inaczej, jak tylko w blasku bogactwa i dostatniego życia. Chce pogodzić z sobą te dwa pragnienia serca, stworzyć szczęście uczuć serdecznych, lecz jedynie na kobiercu błyszczącego bogactwa. Świat cichej pracy i poświęcenia w zbyt prozaicznej formie przedstawia się duszy dziewczęcia. Zresztą, kobieta to z gruntu dobra i szlachetna, ale pod nieumiejętną i niezbyt czystą dłonią rodziców między uroczem kwieciem jej uczuć zakwitło zwolna mniej powabne ziele. Podobny nastrój ducha był przyczyną, że Lunia ani myślała zakochać się w młodzieńcu, który nie odpowiadał wysokim jej pragnieniom. Pan Fabijan miał wprawdzie jakie takie dla obojga utrzymanie, lecz, niestety, nie mógł wprowadzić swej żony do krainy błyszczącego szczęścia i dostatków. Zrażony widocznem niepowodzeniem, nieszczęśliwy konkurent cofa się ze zbolałem sercem. Ale słysząc głos opinii publicznej, który rzuca wątpliwy cień na uwielbianą kobietę, idzie dobrowolnie na ofiarę... odkosza, aby tylko odwrócić od niej najmniejszy cień podejrzenia. Spełniwszy obowiązek, w blasku bohaterskiej aureoli, jaką uwieńczyła go zdziwiona tym czynem opinija, oddala się w wiejskie zacisze, aby tam ukoić zbolałe serce i żyć wspomnieniem minionej ułudy szczęścia.

Tymczasem przebyta sytuacyja wstrząsła do głębi szlachetną duszą Luni. Uwieńczony blaskiem bohaterskości Fabijan w gwałtownej walce różnorodnych uczuć wkrada się powoli do serca dziewczyny. Szlachetniejsze pragnienia duszy odnoszą zwycięztwo. Lunia stara się nawet zbliżyć do siebie sumiennego konkurenta. Lecz znowu niegodziwy dyjabełek Michasia, zjawia się jak złowrogi demon, i zręcznemi słowy strąca nieszczęsnego młodzieńca z piedestału bohaterstwa na stanowisko zwyczajnego aktora, poniżając go tym sposobem w oczach kochanki. Jednakże długi przeciąg czasu nie

zdołał wyrugować zupełnie dawnych wspomnień z piersi dziewczęcia. Zniżyła się też stopa wygórowanych pragnień jej serca. W chwilach smutnej melancholii staje przed stęsknioną duszą postać kochającego młodziana, gdy w tem nagle wieść o mniemanem spadku druzgocze nadzieje odradzającej się kobiety. Czyżby teraz w blasku bogactw i dostatków przygarnąć miała do siebie wzgardzonego niegdyś konkurenta. Na myśl podobną wzdryga się serce dziewczyny, i gorące pragnienia zamykają się na zawsze w zbolałej piersi.

Tymczasem wyczekująca długo tak pięknego łupu Michalina, rzuca zręczne sieci, aby złapać w nie upragnioną ofiarę. Następuje dziwna sytuacyja, w której prostoduszny poczciwiec bezwiednie staje się mniemanym konkurentem niegodnej intryganki. Gdy jednakże znika aureola bogactwa, szlachetna dziewica zręcznym odwrotem rzuca uszczęśliwionego młodziana w objęcia upragnionej istoty. A Fabijan staje się w obec kochanki, uszlachetniony wzniosłym czynem ofiary na ołtarzu dobra społecznego.

Widzimy tu zwyczajną, lecz barwną nader nić powszedniego żywota. Subtelna analiza uczuć, zręczna charakterystyka osób, interesująca intryga i w ogóle wszystko, co stanowi nadobne kwiecie, ubarwiające tło powieści, stanowią wysokie przymioty tego udatnego cacka. Nie wchodzi tu autor na szersze pole tendencyjności, lecz w pięknym pełnym życia i wysokiego artyzmu obrazku obyczajowym maluje nam świat rzeczywisty, realny. A każda postać żyje całą pełnią czynu, nie tonąc w mgle sentymentalnego deklamatorstwa lub biernej bezczynności.

A. Pilecki.

Książki powyższe nabyć można w księgarni A. Kowalskiego. Ulica Nowy Świat Nr. 39.

ŚLADY ŻYCIA.

XVI.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Pod smutną wróżbą rozpoczynają się dzisiejsze ślady życia i tegoroczna wiosna. Nie mieliśmy w przeszłym roku cholery — mieliśmy epidemiję pożarową. Teraz mamy nową epidemiję *zawalania się domów*. W ubiegłym tygodniu, jednego i tego samego dnia zawaliło się ich parę—na drugi dzień *zrysowało się*, to jest pękło parę ścian w innych, zaś tydzień temu, we Czwartek po południu byliśmy świadkami zawalenia się ściany w nowo budującej się trzechpiętrowej oficynie domu Nr. 8 przy ulicy Dzikiej. Straszna ta katastrofa miała miejsce w tedy jeszcze, gdy robotnicy byli zajęci i kilkunastu a jak mówią nawet kilkudziesięciu z nich zostało pogrzebanych pod gruzami. Rozpacz zgromadzonych tłumnie rodzin pracujących nie miała granic. Słyszeliśmy — starego robotnika, wołającego ze łzami w głosie — tu dziecko moje leży zagrzebane — dajcie pomoc — ja własnemi rękami będę odwalał gruz!“ Trudno sobie wyobrazić tę rozpacz. Jakiś „architiektor“ łaził z kilkoma ludźmi i przez piwnice dostawał się na miejsce wypadku. Przy nas wydobyto już jednego młodego chłopca. Jęki jakiejś kobiety dochodziły do uszu stojących obok gruzów.

Że wypadki takie pochodzą z niesumienności budujących i spekulacyjnej gorączki kapitalistów, którzy najtańszym sposobem wybudowawszy kamienicę pragną jak najdrożej ją sprzedać lub — zostawszy specyjalnymi kamienicznikami — mieć dobry dochód z perydyjodycznego podwyższania komornego—dowodem właśnie ostatni wypadek. Dowiedzieliśmy się o tem z dobrego źródła. Majster murarski prowadzący robotę, zauważył, gdy oficyna już dachem była pokryta, że nagle zrysowała się jedna ściana. Udawszy się do piwnic, przekonał się że fundamenta są murowane z cegły tak źle wypalonej, iż zamieniły się w glinę — co groziło zapadnięciem się domu. Powziął więc niebezpieczną a w tym razie szaloną myśl, bo ściana już była pękniętą, wyjmowania cegieł i zastąpienia ich nowemi. Otóż w trakcie tej roboty, katastrofa miała miejsce.

Warszawskie Towarzystwo ubezpieczeń od ognia ogłosiło drukiem sprawozdanie z czwartego zwyczajnego ogólnego zebrania akcyjonaryjuszów swoich. W ogóle, mimo bardzo znacznego rozwinięcia działalności Towarzystwa, rezultat finansowy z ubiegłego roku w stosunku do poprzedniego niekorzystniej się przedstawia, a to z przyczyny częstych pożarów, z których blisko połowa pochodzi z podpalenia.

Ogólna suma ubezpieczeń przez Towarzystwo w ciągu r. 1874 przyjętych wynosiła rs. 145055002; w porównaniu z rokiem poprzednim więcej o rs. 33,014,909. Dochód ze składek, pobranych od tych ubezpieczeń, wynosił 783,938 rs. kop. 94, czyli o rs. 203,668 kop. 89 więcej, niż w roku poprzednim. Z dochodu tego, po potrąceniu premii, wydanych na reasekuracyją, przypadło na udział Towarzystwa rubli srebrem 338.913 kop. 71 $^1/_2$. Straty, zrządzone pogorzelcom wyniosły rs. 591,357 kop. 97, czyli o rs. 334,913 kop. 37 więcej. Po potrąceniu z ogółu strat udziału w nich Towarzystw reasekuracyjnych, straty przypadłe na rachunek Towarzystwa uczyniły rs. 268,918 kop. 37. Czysty zysk w ilości rs. 5,636 kop. 91, przyłączony został do kapitału zasobowego.

Warszawskie Towarzystwo ubezpieczeń od ognia w ubiegłym roku zrobiło podanie do Władzy o wprowadzenie w zakres czynności swych *ubezpieczenia na życie*, jak również poczyniło wiele ulepszeń i uzupełnień w redakcyi statutu.

Z prawdziwą przyjemnością przeglądamy niekiedy nasze *pisma prowincyjonalne*. Stają one zwolna na stanowisku, odpowiadającem w zupełności potrzebom ogółu. W szpaltach ich znajdujemy wierne odbicie życia na partykularzu. Często też żywotne nader występują tam sprawy. W ostatnich czasach zauważyliśmy dosyć umiejętnie opracowane drobne artykuliki pedagogiczne, kwestyje służących, proletaryjatu miejscowego i t. d. Szczególniej celuje w tym względzie Kaliszanin, pismo prowadzone z godną uznania starannością. Szczególniej cieszy nas to, iż szan. organy prasy prowincyjonalnej pojmują znaczenie pedagogiki. Chcąc wpłynąć na rozwój społecznego życia, chcąc wprowadzić je na coraz lepsze tory, należy zaczynać od fundamentu, w sferze stosunków rodzinnych i spraw pedagogicznych.

Kiedy nakoniec doczekamy się owej *resursy rzemieślniczej?* Kwestyja tyle razy podejmowana przez naszą prasę, tak już bliska, jak się zdawało urzeczywistnienia, jest dotąd *pia desideria...* Niedawno znów ktoś przypomniał ją w Warszawie, odwoływał się do przemysłowców, którzy powinni mieć ją na sercu— lecz nikt się na to nawoływanie nie odezwał. i znów głucho .. Kto i kiedy do dzieła tego rękę przyłoży niewiemy, lecz zdaje nam się nieodrzeczy, powiedzieć słów parę, co do samej nazwy, która może—kto to wie—wstrzymuje nie jednego od inicyjatywy. Nazwa bowiem — to firma — sztandar, który częstokroć wyrokuje o powodzeniu danego przedsięwzięcia. Być może że niejeden z przedsiebierców zamyślił się — ażaliż wielu będzie miała członków resursa pod godłem „rzemieślniczej“ powstająca przy naszym popędzie do szyku, do pozowania, do chorowania na panów, do życia nad stan i t. d. I zamyślił się nie bez przyczyny. Chcąc zapewnić powodzenie podobnej instytucyi, potrzeba bezwarunkowo, by pierwotnymi założycielami jej i przedstawicielami byli ludzie porządni, prawi, przyzwoici, z pewnem ukształceniem i wyrobioną opiniją, pomiędzy średnią masą naszych przemysłowców — rzemieślników. Otóż ci sami ludzie, a przynajmniej niektórzy z nich, ci mianowicie, co nierozwinęli się do tego stopnia, by niezazdrościć wyżej stojącym i nie piąć się do nich, za nic w świecie nie położą swych nazwisk, mających być *opublikowanemi w gazetach* pod „rzemieślniczą instytucyją.“ Ludzie ci boją się by ich nie nazwano szewcami, krawcami, ślusarzami, cieślami. Mianują się w reklamach i na szyldach „fabrykantami obuwia,“ mają „magazyny ubiorów“ są „mechanikami“ lub „technikami.“ Zdaje się więc nam bardzo praktyczną myśl, ażeby zaprzestać raz już mowy o „resursie rzemieślniczej“ a wprowadzić prędzej w czyn założenie „*Resursy Przemysłowców Warszawskich.*“ Nazwa ta, na którą chętnie każdy z rzemieślników będzie się pisał, jest tembardziej stosowną, że pozwoli rzeczywiście uczestniczyć w niej większej liczbie członków, należących do naszej inteligencyi, a temsamem, mogących zbawienny wpływ wywrzeć na wzajemne stosunki i rozwój cokolwiek zakonserwatywnych i za *spirytualnych* swych braci.

Дозволено Цензурою.— W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.